DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 58.] SOBOTA 8. LIPCA 1911. Rocznie......10. K (4 Rb., 8 Mk. Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Wyniki wyborów w Galicyi.

Z ogólnej liczby 106 mandatów naszego kraju o 78 rozstrzyga ludność polska, o 28 ludność ruska.

W r. 1907 zdobyli Rusini 27 mandatów (20 ukraińców, 3 starorusinów i 2 moskalofilów, 2 socyalistów ruskich) gdyż 1 mandat t. zw. ruski zdobyty został przez kandydata polskiego (w okręgu wiejskim drohobyckim); straciliśmy nadto poza Koło Polskie 9 mandatów (4 socyalistów, Breiter, 3 syonistów, pos. Gross); Koło Polskie liczyło zatem 70 posłów a z jednym śląskim 71.

Obecnie zdobyli Rusini 26 mandatów (23 ukraińców, 2 moskalofilów, 1 socyalista ruski) gdyż 2 mandaty t. zw. ruskie zdobyte zostały przez kandydatów polskich (w okręgach buczackim i żółkiewskim); straciliśmy nadto poza Koło Polskie znowu 9 mandatów (7 socyalistów, 2 mandaty Breitra); Koło Polskie będzie zatem liczyło 71 posłów (a po odzyskaniu jednego z mandatów Breitra 72) a z dwoma śląskimi 73 względnie 74.

Zacznijmy od mandatów ruskich.

Ukraińcy mieli zadanie bardzo ułatwione dzięki temu, że władze rządowe odnosiły się do wszystkich ich kandydatów conajmniej z bierną życzliwością, a niektórych ich współzawodników, mianowicie starorusinów i moskalofilów, zwalczały, a podobno także i kandydatów polskich w niektórych okręgach t. zw. ruskich niechętnie widziały. I rzeczywiście ukraińcy nie tylko utrzymali wszystkie mandaty dawne, ale i zdobyli trzy nowe, tak że już bardzo niewiele, bo tylko trzech mandatów, brak im do całkowitego i wyłącznego skupienia w swych rękach przedstawicielstwa całej ludności ruskiej. Powodzenie to znaczy, że wcale im nie zaszkodziła cała ich polityka od czasu ostatnich wyborów, polityka stale i wzrastająco gwałtowna i zionąca nienawiścią, a wyrażająca się w takich objawach jak: zamordowanie ś. p. Namiestnika i jawne wysławianie morderstwa, rozlew krwi na Uniwersytecie lwowskim, w parlamencie ciągłe zapowiedzi rozruchów i rzezi naprzód tylko przez najgwałtowniejszych jak Petrycki, Budzynowski, Trylowski, a w końcu i przez Oleśnickiego, wreszcie w Sejmie burda i tamowanie obrad.

Starorusini, zwalczani przez rząd, nie zdobyli ani jednego mandatu. Upadek posła tak umiarkowanego, w porównaniu z ukraińcami, jak p. Korol, posła tak chętnego do zgody i porozumienia z nami jak p. Hlibowicki, posła tak niemiłego p. Dudykiewiczowi jak ks. Dawydiak, nie jest zjawiskiem korzystnem dla interesów politycznych polskich. Nienawiści do nas, takiej jak ukraińcy, nie żywili oni nigdy i czyto w chwili rozpraw nad ustawą pruską o wywłaszczaniu, czyto przy zamordowaniu ś. p. Andrzeja Potockiego uczucia ich były po naszej stronie, a także umiarkowanymi poglądami społecznymi odbijali ogromnie od anarchistycznych ukraińców. Takie stronnictwo umiarkowane, otoczone innemi, które rozpalają namiętności, ma wogóle zadanie trudne, a cóż dopiero, gdy zwalczane jest przez władze rządowe. Nie dla nas jednak, ale dla ukraińców złożeni zostali starorusini w całopaleniu.

Moskalofile odcienia p. Dudykiewicza, radykalni i nawskróś moskiewscy, dla kraju rzeczywiście niebezpieczni, zwalczani byli również przez rząd krajowy, ale bezskutecznie, gdyż obaj dotychczasowi ich posłowie, p. Kuryłowicz i p. Markow, zdobyli i teraz swe mandaty.

Socyalistów ruskich było dawniej dwóch (pp. Wityk i Ostapczuk), a teraz jeden z nich, p. Ostapczuk, w okręgu tarnopolsko-zbaraskim, zastąpiony został przez ukraińca.

Ogólnie biorąc, na czoło wybija się co do wyborów ruskich zbliżanie się stronnictwa ukraińskiego do wyłącznego zapanowania nad ludnością ruską. Czy to jest dobrze? Dotychczasowe doświadczenia pouczają, że wraz ze wzrostem sił rosła zaborczość i gwałtowność tego stronnictwa, żyjącego jedynie nienawiścią. Tego zaprzeczyć i zbić nie można i nikt nawet nie usiłuje. Polityka obecnego rządu krajowego oparta jest, wbrew tym doświadczeniom, na nadziei, że będzie inaczej, nadziei, którą nie wszyscy podzielają.

Przejdźmy do mandatów polskich straconych poza Koło Polskie.

Socyaliści oprócz czterech dotychczasowych mandatów (Lwów III, Lwów VII, Przemyśl, Stryj), których odzyskanie okazało się jeszcze trudnem, zdobyli trzy nowe, wszystkie w Krakowie: jeden z nich, krakowski podmiejski, trudno było ocalić, za stratę dwu innych odpowiedzialne są rządzące w Krakowie grupy, mieszczańska i demokratyczna, których polityka nie ożywia i nie zapala wyborców narodowych, a czasem, jak narzuceniem niemożliwej kandydatnry p. Doboszyńskiego, wręcz ich oburza.

Breiter zdobył dwa mandaty. Co do lwowskiego zrobiono wszystko co było możliwe, aby mu go odebrać. Za stratę złoczowskiego

odpowiedzialność ponosi większość p. Namiestnika w Radzie Narodowej, która uparła się wbrew życzeniom ludności przy kandydaturze p. Golda.

Syoniści zniknęli zupełnie z widowni poselskiej: w Brodach dzięki postawieniu tam silnej kandydatury p. Kolischera, a w dwu okręgach wiejskich, poprzednio podstępnie skradzionych, dzięki oburzeniu jakie to wywołało w kraju, dzięki udoskonalonej organizacyi Rady Narodowej i współdziałaniu wszystkich czynników polskich.

Wreszcie samo Koło Polskie.

Dawniej liczyło Koło Polskie: 8 konserwatystów (w czem 1 lub 2 z prawicy narodowej) 13 demokratów, 19 ludowców, 16 demokratów narodowych, 5 z grupy ks. Stojałowskiego, 6 z t. zw. centrum pos. Kozłowskiego, 4 luźnych.

Obecnie liczyć ma ono: 9 posłów z prawicy narodowej i 2 zbliżonych do niej, 9 posłów konserwatywnych lub umiarkowanych innych odcieni, 14 demokratów, 25 ludowców, 10 demokratów narodowych, 1 chrześcijańsko-społeczny (p. Potoczek), 1 luźny (p. Łazarski).

Prawica narodowa wprowadziła pp. Korytowskiego, Goetza, Starowieyskiego, którzy napewno będą bardzo pożyteczni, pp. Hallera i Matakiewicza, którzy są nieznani, p. Halbana, który jest znany, pp. Jaworskiego i Rosnera, których sposoby działania politycznego mogą być bardzo zgubne, wreszcie p. Steinhausa, zdrajcę karności narodowej, który niby wystąpił z prawicy narodowej i który nie powinien być przyjęty do Koła Polskiego, ale pewnie będzie, bo jedno odstępstwo mniej czy więcej już się dzisiaj nie liczy. Z dwóch mandatów doszła prawica narodowa do dziewięciu. Oczywiście nie dzięki organizacyi własnej, o której szkoda i mówić, bo nie istnieje ona w kraju niemal zupełnie. Natomiast dzięki powadze niektórych kandydatów, jak pp. Goetz, Korytowski lub Starowieyski, a w innych wypadkach dzięki poparciu rządu krajowego.

Nie należy do prawicy narodowej ale dzisiaj idzie z nią zgodnie p. Biliński, którego imię samo, po doświadczeniach ostatnich, brzmi wręcz groźnie i nie zapowiada niczego dobrego. Zbliżonym do prawicy narodowej wydaje się p. Czaykowski.

Różne odcienie przedstawiają posłowie umiarkowani, nie należący do prawicy narodowej, a nawet dosyć jej czasem dalecy: Abrahamowicz, Baworowski, Gołuchowski, Kozłowski, Lubomirski, Osuchowski, Serwatowski, Wysocki, Zaleski. Wybrani we wschodniej części kraju (z wyjątkiem p. Lubomirskiego, który jednak pozostaje z nimi w pewnej łączności), są oni przedstawicielami tej różnicy, która zawsze istniała między obozem wschodnim a krakowskim. Toteż niektórych z nich i to tak wybitnych jak p. Abrahamowicz dopiero trzeba było przypominać przed obecnymi wyborami prawicy narodowej i rządowi krajowemu, innych, jak p. Kozłowskiego, trzeba było dość usilnie bronić, a jeden z nich, p. Starzyński, padł w walce, zwalczany o pomstę wołającemi nadużyciami rządu krajowego.

Demokraci wchodzą do Koła Polskiego następujący: pp. German, Gross, Kleski, Kolischer, Leo, Lisiewicz, Rauch, Rychlik, Śliwiński, Stesłowicz, Stern, Zarański, Zieleniewski i ktoś zamiast p. Loewensteina, który mandatu drohobyckiego nie przyjmuje. Co ich łączy w jedną grupę niełatwo wyjaśnić, bo biały p. German i czerwony p. Śliwiński z innych źródeł pili mądrość polityczną, a i p. Gross czego innego chce niż p. Zieleniewski. Główną nowość stanowi tu p. Leo, który wchodzi wprawdzie do Koła Polskiego bardzo umniejszony wyborami krakowskimi, ale który wniesie tam w każdym razie obok dużych zdolności także i tę dużą dążność do wymiany mózgów, która może wiele złego sprawić jak już sprawiła. Dalszą ważną nowość stanowią pół-socyaliści: p. Gross z jednej strony, pp. Lisiewicz i Śliwiński z drugiej, a jest to nowość niezupełnie bezpieczna, bo byli oni popierani przez socyalistów i kto wie czy nie będą się oglądali na nich z uczuciem pewnych zobowiązań, wzajemnych zaufań, a także z troską o przyszłość i o poparcie przy następnych wyborach.

Ludowcy liczą obecnie wśród siebie 12 posłów-włościan (pp. Bis, Bojko, Bomba, Jachowicz, Jedynak, Kubik, Łyszczarz, Madej, Rusin, Śmiłowski, Średniawski, Witos) i 12 posłów wyżej wykształconych (pp. Angerman, Banaś, Biały, Długosz, Kędzior, Lasocki, Myjak, Rey, Ruebenbauer, Tetmajer, Wróbel oraz podobno także i p. Dobija), a na czele stoi p. Stapiński. Zmiany są wielkie i bardzo poważne. Wydaje się rzeczą niemożliwą, aby wpływ ludzi takich jak pp. Długosz, Kędzior, Rey, nie zaznaczył się i to bardzo dobroczynnie. Na razie p. Stapiński, mimo przedwyborczych obietnic, postanowił wszystko mocno trzymać w garści i zachował prezesurę stronnictwa oraz klubu parlamentarnego a i obaj wiceprezesi nowo wybrani to włościanie. Jak będzie dalej, zobaczymy. W każdym razie p. Stapiński stanął silnie dzięki idei politycznej, której zdawał się służyć w tych wyborach z całą siłą rząd krajowy: i niechaj będzie jeden tylko chłop: ludowiec i jeden bóg jego: Stapiński.

Stronnictwo demokratyczno-narodowe liczyć będzie obecnie tylko 10 posłów następujących: pp. Buzek, Dębski, Gall, Głąbiński, Jabłoński, Lewicki, Ptaś, Skarbek, Tertil, Zamorski. Są to zatem przeważnie siły znane i pożyteczne. Nie znaczy to wcale, aby takie właśnie było dążenie p. Namiestnika, bo władze rządowe zwalczały np. p. Ptasia na korzyść p. Curusia ludowca, a zresztą, gdyby cała troska o jakość posłów rzeczywiście głównie ważyła w polityce rządu krajowego, to także różni Madeje, Bisy, Śmiłowscy, nie byliby kandydatami rządowymi. Klęska stronnictwa demokratyczno-narodowego jest nieuniknionem następstwem polityki jego głównego kierownika od lat czterech. Po lekkomyślnych i nierozumnych objawach dążenia do wpływów wszelkimi środkami i po namiętnej demagogii, społeczeństwo straciło wiarę w to stronnictwo i przestało mu się ono wydawać lepszem niż inne. Korzystając z tego nastroju wystąpił p. Namiestnik przeciw stronnictwu demokratyczno-narodowemu bezwzględniej i gwałtowniej niż dobro publiczne nakazywało, bo mimo tych błędów jest ono dużo lepsze od innych, popieranych przez p. Namiestnika.

Zniknęło t. zw. centrum, przedstawiające głównie wpływy duchowieństwa na wsi. Zniknęło ono nie tylko wskutek własnej słabości, ale głównie dlatego, że n. p. przeciw ks. Rzeródce lub ks. Męskiemu popierał rząd krajowy ludowców. Nie będzie już nikogo kłuła w oczy sutanna w Kole Polskiem. Są wprawdzie u nas ludzie, którzy sądzą, że to nie jest wcale dobrze i że wpływ księdza na wsi może być dla życia obywatelskiego i narodowego zbawienniejszy niż wyłączny wpływ agitatora ludowcowego i żandarma rządowego, ale to są zapewne ludzie zacofani, „których wyobrażenie o właściwych źródłach opinii w kraju, o kierunku istotnie silnych prądów społecznych, nie odpowiada dzisiejszemu stanowi kraju", jak poucza mądrze pismo p. Namiestnika i jego obozu.

Spokojnie na rzecz patrząc, powiedzieć trzeba, że w wynikach ostatnich wyborów są rysy i zdarzenia dobre, ale są i złe, a wśród złych na czoło się wybija bezwzględność, namiętność, niewyrozumiałość i nieprzebieranie w środkach, które przy tych wyborach znamionowały działalność nowej większości i które w kraju zostawić muszą głębokie rozgoryczenie.

List do J. E. P. Namiestnika[1]).

Ekscellencyo !

Głos, który się oto podnosi do wysokości urzędu J. E. nie ma w sobie innej wagi, jak tylko tę, którą mu dać może własna jego treść, a i pod tym względem piszący liczy wiele na wyrozumiałość J. E. Zresztą jest to głos najzupełniej indywidualny, nie związany z bieżącą chwilą żadnym interesem politycznym, żadną namiętnością stronniczą. Jego słowa otwarte i proste dyktuje sama szczera troska o przyszłość. Może się mylę, ale wydaje mi się to pewnem, że tak wypowiedzianych słów nie może z góry odtrącić nikt, chociażby sam był najmądrzejszy, jeżeli go zrządzenie losu powołało w tej mierze co J. Ekscellencyę do stanowienia o przyszłości i do odpowiedzialności za nią.

Pozwoli J. E., że dla uwydatnienia właściwych intencyi, zacznę od spraw, które zapewne niejednokrotnie były przedmiotem rozwagi J. E., a w których mój pogląd będzie, zdaje się, najmniej odległy od doświadczonych sądów J. E.

Po reorganizacyi rosyjskiej unifikacyjnej potęgi państwowej, po obudzeniu się z odurzających nadziei, od których przed paru laty nie była wolną polityka polska w Królestwie kongresowem, zostaliśmy Polacy, więcej niż przed ostatnią wojną rosyjską, zdani na zależność od monarchii austro-węgierskiej. Nasz ściślejszy, jakkolwiek zawsze jeszcze tylko polityczny stosunek do państwa habsburskiego, wzmocnił się znowu więzami bardzo ciasnemi i bardzo trwałemi. Rozszerzenie praw politycznych na najszersze, nieodpowiedzialne masy w tem państwie, a przytem wzrost radykalnego ruchu ukraińsko-ruskiego w naszym kraju sprawiły ten skutek, że punkt ciężkości w stosunku naszym do państwa przesunął się na naszą oczywistą niekorzyść. Z wielkiem wysileniem podtrzymywał nasz wpływ i dawne znaczenie w państwie austryackiem wielki poprzednik J. E. na urzędzie namiestnika Galicyi, nieodżałowanej pamięci hr. Andrzej Potocki. Po jego tragicznej śmierci, nadto po rozluźnieniu karbów żelaznej niegdyś dyscypliny Koła Polskiego w Wiedniu, po nastaniu w tej naszej delegacyi narodowej systemu chwiejnej rownowagi stronnictw, zwalczających się wszelką bronią, zaczął się moment, nie zamknięty dotąd, nie pozbawiony dziejowej grozy.

W tym to trudnym momencie zostałeś, Ekscellencyo, powołany na urząd, może nie najchlubniejszy ze wszystkich, które dzisiaj Polakowi dostępne pozostały, ale z pewnością najcięższy ogromem władzy i odpowiedzialności.

O paruletnich rządach J. E. w naszym kraju, o wszystkich aktach tych rządów, podobnie jak o wszystkiem, co jest podległe sądom ludzkim, pełno było od początku zdań tak sprzecznych, że niemożliwych do pogodzenia. Doszło zapewne do wiadomości J. E., że — ograniczam się pod tym względem do powtórzenia opinii wyraźnie ujemnych — rządom J. E. zarzucano niejednokrotnie zbytnią uległość wobec rządu centralnego, przesadną powolność wobec obozu ukraińsko-ruskiego, stronniczą partyjność wobec stronnictw polskich, nieukrywane lekceważenie poważnych instytucyi i pełnych doświadczenia rad i przedstawień polskich Wiadomo jest powszechnie, że na poparcie tych opinii ujemnych zjawiało się każdego czasu w prasie peryodycznej wiele wiadomości, z których tylko niektóre zostały następnie zaprzeczone lub sprostowane w sposób, nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

A jednak, chociaż jedne z tych wiadomości były zaświadczone przez ludzi najwiarygodniejszych i niekoniecznie źle życzących J. E., chociaż inne z nich były potwierdzone przez niewątpliwe fakty, niemniej, nawet dzisiaj, jestem bardzo daleki od tego, ażeby z owych wiadomości wysnuwać wnioski ogólne i wyrokować publicznie o całej, jeszcze niezamkniętej działalności J. E. na urzędzie namiestnika Galicyi. Dobrze jest, jeżeli rządzący ma za sobą powszechne zaufanie, jeżeli motywy jego działalności są dla wszyskich obywateli jasne i dostępne. Ale, niestety, nie zawsze jest to możliwe. Nawet najbystrzejsi i najbardziej sumienni historycy polityczni nie odkrywają oczom pokoleń późniejszych całej prawdy, ale często tylko jej część najpowierzchowniejszą.

Tem otwarciej będę do J. E. mówił w tej szczególnej sprawie, co do której nawet bardzo wstrzemięźliwy skeptyk miał sposobność dojść do wniosków niezbitych, bo popartych dosłownie setkami faktów, zaszłych w obliczu całego kraju, zaświadczonych przez dosłownie tysiące świadków. Mam na myśli tę niszczącą burzę, która w ostatnich tygodniach przeszła ponad naszemi głowami, a która się nazywa wyborami.

Nie staję przed J. E. jako rzecznik jakiejś uczonej doktryny, n. p. teoryi o nieinterwencyi władz politycznych w akcyi wyborczej, al-

[1]) List powyższy, nadesłany do redakcyi, został jednocześnie wydany osobno p. t. „List wyborcy sejmowego do J. E. P. Namiestnika Galicyi".

bo teoryi, żądającej, ażeby ingerencya tych władz musiała być ograniczoną do wykonywania martwej litery prawa. Nikt nie powinien się dziwić, a najmniej ci, których wątpliwą zasługą jest wprowadzenie dzisiaj obowiązującej ustawy wyborczej, jeżeli wobec warunków, stworzonych przez tę ustawę, zwiększy się faktycznie swobodna, nie trzymająca się litery prawa, ale zgodna z jego istotną treścią, ingerencya władz politycznych w akcyi wyborczej. Nie możnaby nawet, zdaniem mojem, oponować bezwzględnie przeciwko ustawowemu określeniu i rozszerzeniu tej ingerencyi.

Z drugiej strony, jest rzeczą do przewidzenia, że w akcyi tego rodzaju, jak wybory do parlamentu wiedeńskiego na podstawie obowiązującej ustawy, mogą się zdarzyć nieszczęśliwe wypadki, niezawinione przez szefa rządu krajowego przekroczenia władzy, a nawet poważne, krwawe a przypadkowe nieszczęścia. Rzeczą ludzi uczciwych jest wyrozumieć właściwą naturę tych faktów i nie wyzyskiwać dla celów demagogicznych ich drażniącej wymowy.

Co innego, gdy idzie o nadużycia, o świadome, powszechne, jawne nadużycia wyborcze dokonywane przez organa władzy.

Ekscellencyo! Nie przemawia przeze mnie współczucie do stronnictwa narodowej demokracyi. Przyznaję i ja, że stronnictwo to miało najchlubniejsze początki, że zdobyło ono niemałe tytuły do zasługi w naszem społeczeństwie, że jego szeregi liczą jeszcze wielu najlepszych obywateli. Byłbym jednak ślepym i współwinnym, gdybym przeczył, że stronnictwo to nadużyło słowa, zwłaszcza drukowanego, tak dalece, że istotnie wobec sprzeczności czynów i enuncyacyi, ogół mógł był zagubić sąd o tem, do czego to stronnictwo jako organizacya polityczna dąży naprawdę. Stronnictwo to istotnie nadużyło z kolei wszystkich dostępnych mu metod i środków działania. W jego smutnym upadku, smutnym, bo towarzyszy mu widoczne już dzisiaj u wielu poderwanie wiary w naszą zdolność do zbiorowego działania politycznego na dłuższą metę, zaważyła nie sama tylko, znana od wielu lat niechęć J. E. do tego stronnictwa.

Ważniejsze względy, natury ogólnej, przemawiają przeciwko metodzie nadużyć wyborczych.

Poszanowanie władzy, karność wobec jej rozkazów, stanowią nieocenione, realne dobra każdego społeczeństwa. Bez nich nie tylko rozwijać się, ale i żyć trudno. Nie umieliśmy dóbr tych ocenić dawniej, nie łatwo przychodzi przekonać się o ich niezbędnej potrzebie dzisiaj, wobec braku własnego państwa. Czuli tę naturalną trudność znakomici poprzednicy J. E. na urzędzie namiestników kraju i nie znaleźli żadnego innego, jak ten, co prawda bardzo trudny sposób: tak postępować, ażeby nasz ogół mógł się utwierdzić w przekonaniu, że władza rządowa w Galicyi jest z krwi i z ducha władzą polską.

Ekscellencyo! Jawne i stwierdzone zwalczanie kandydatów zatwierdzonych przez Radę Narodową nie jest czynem, którыby mógł utwierdzić ogół w takiem, jak powyższe, przekonaniu.

Poszanowanie wiedzy — nikt tego lepiej nie wie od J. E. — jest możliwe tylko, gdy jest ugruntowane na poszanowaniu istoty prawa i moralności. Nawet u narodów, które umieją lepiej niż my słuchać władzy, panuje przekonanie, że w razie, jeżeliby rozkazy władzy nie były zgodne z nakazami prawa i moralności, jednostce i społeczeństwu zostaje obowiązek walki o prawo. Naród, który takiej walki podjąć nie umie, pisze sam na siebie wyrok zagłady, tak samo jak naród niezdolny wogóle do poszanowania prawnej władzy.

Tak twierdzą przynajmniej znani pisarze polityczni, nawet pisarze współczesnych Niemiec. Uznaniu J. E. jako prawnika i pisarza polskiego, można — sądzę — z pełnem zaufaniem powierzyć rozstrzygnięcie pytania, czy postępowanie podległych mu organów władzy politycznej w czasie minionych wyborów można będzie we wszystkich wypadkach osłonić wysoką sankcyą prawa i moralności.

Ekscellencyo! Wybory minione — trzeba się tego bardzo obawiać — nie przyczynią się wiele do podniesienia opinii naszych rządów wewnętrznych ani wobec zagranicy, ani, co ważniejsza, wobec własnego społeczeństwa. Nie będzie łatwo przywrócić wiarę w bezstronność organów politycznych, w ich zdolność do spełniania zwyczajnych obowiązków zawodu. Wybaczy J. E., ale zdaje mi się, że nawet Ekscellencyi trudno będzie żądać od podwładnych tych wysokich przymiotów obywatelskich, bez których urzędnik polityczny nie o wiele może być pożyteczniejszym od żołnierza policyjnego, ilekroć Ekscellencya wspomni na to, do jakich to robót użyto tych urzędników w czasie minionych wyborów.

Obawiam się jednak, że zaczynam nadużywać cierpliwości J. E. rozwodząc się nad rzeczami, które bynajmniej nie są nowe, a które J. E. w sposób nierównie dojrzalszy i głębszy sam może ocenić.

Zapewne! — pomyśli J. E. — wszelkie nadużycia są szkodliwe i złym ich skutkom trzeba w porę zapobiedz... a tymczasem...

Jesteśmy niemal u końca sprawy. Co będzie tymczasem? Jaki jest cel, do którego drogą były minione wybory?

Są tacy, którzy utrzymują, że J. E. pragnie nas, dla naszego dobra, przykuć tak radykalnie do państwa austryackiego, ażebyśmy nie zużywali sił na próżne pasowanie się i mękę.

Jestem głęboko przekonany, że jest to opinia najzupełniej powierzchowna i w najwyższym stopniu dla J. E. krzywdząca, jakkolwiek daje ona pewną miarę istniejącego zaniepokojenia.

Cel właściwy musi leżeć wyżej i świecić jaśniejszym blaskiem.

Zapewne nie jest nim sama tylko chęć stworzenia Koła Polskiego o silnej, zwartej większości, Koła zdolnego do pozytywnej pracy parlamentarnej. Takiemu Kołu Polskiemu przydaliby się najwięcej ci bardzo wybitni i doświadczeni parlamentarzyści, którzy do większości Koła Polskiego należeli zawsze, a których tam dzisiaj nie dopuszczono.

Osoba J. E., górująca niezmiernie nad przewódcami stronnictw większości jest cementem spajającym tę większość. Trzeba to powie-

dzieć jasno: cele polityczne obecnego Koła Polskiego w Wiedniu będą echem celów politycznych J. E.

Jakiekolwiek one będą, te cele, racz Ekscelencyo zważyć i to jeszcze:

Większość Koła Polskiego składa się z samych tylko stronnictw, mających oparcie w zachodniej części kraju. Za wielka w stosunku do potrzeby jest w tej większości grupa posłów, słabo związanych z naszą przeszłością, a nawet teraźniejszością. Za wielu posłów, jak to złośliwie mówią, mianowanych. W rozwiązaniu historycznej kwestyi ruskiej większość ta nie będzie J. E. bardzo pomocną. Próbując ją rozwiązać radykalnie, może ona tak pogmatwać tę kwestyę, że jej już żaden następca J. E. nie da rady. Starych, krakowskich projektów n. p. reformy administracyi lub reformy gminnej powoływać do życia dzisiaj, in crudo, wobec zmienionych warunków, także niepodobna. O nowych nic nie wiemy.

Ekscellencyo! Polityka faktów dokonanych ma za sobą wiele stron dodatnich, szczególnie, kiedy idzie o nadzwyczajne, przełomowe chwile. Jednak i w takich chwilach nie cieszyła się ta polityka bezwzględnem powodzeniem u nas w Polsce. Najgłębiej pomyślane, z uczucia płynące indywidualne czyny w Polsce, dokonane bez dobrego przygotowania ogółu, bez porozumienia się z jego wolą kończyły się dla kraju najsmutniej. Trudno jest nami rządzić.

Wyszedłeś Ekscellencyo z walki wyborczej obronną ręką. Obowiązek solidarności narodowej nie pozwoli pewnie pokonanym wziąć za to na obcem forum odwetu. Wobec zwartej, oddanej J. E. większości Koła, kraj jest zdaje się na długi czas wobec J. E. bezbronny. Zwyciężywszy innych, powściągnij Ekscellencyo własną ambicyę polityczną, jakkolwiek jest ona wielką i szlachetną i nie rozstrzygaj o naszej przyszłości — bez nas.

Lwów, 3. lipca 1911 roku.

Wyborca sejmowy.

Czas o Radzie Narodowej.

W krakowskim *Czasie* z d. 3. lipca b. r. ukazał się artykuł p. t. „Rada Narodowa a wybory“, który pozostanie na długo pamiętnym przykładem, jak bezwzględnie można odwracać prawdę, ile fałszu i obłudy można zmieścić w jednym artykule dziennikarskim, a także jak nisko, co do prawdomówności i uczciwości, upaść może pismo niegdyś uczciwe, przez szlachetnych ludzi założone i przez szlachetnych ludzi długo popierane.

Oczom się wierzyć nie chce, gdy się czyta w jakich wyrazach ocenia i sądzi *Czas* to co Rada Narodowa zdziałała: praca jej kierowników to „złośliwości i małe sztuczki“, owoc tej pracy to „deprawujące wrażenie, które cała ta akcya wywarła w najszerszych kołach ludności“, a ostateczny wyrok to krótkie i jędrne powiedzenie, że „wybory wypadły doskonale mimo Rady Narodowej“. Nic dziwnego, że nazajutrz *Naprzód* przedrukował w artykule wstępnym p. t. „Kilka słów prawdy o radzie narodowej“, nie zwykłym, nie rozstrzelonym nawet, ale tłustym drukiem, te cenne dla socyalistów prawdy *Czasu* o Radzie Narodowej.

Na jakich zarzutach oparty jest ten sąd, nie pozostawiający kierownikom Rady Narodowej nic jak tylko wstyd i hańbę?

Rozpatrzymy je po kolei.

Ale nasamprzód trzeba jasno powiedzieć kogo to *Czas* tak zniesławia i kogo ma na myśli, mówiąc o „kierownikach Rady Narodowej“: nie całe prezydyum (bo trzej wiceprezesi są właśnie przedstawicielami tej większości p. Namiestnika, której służy *Czas*), ale stałych, codziennych i głównych jej pracowników i kierowników: prezesa p. Tadeusza Cieńskiego i sekretarza p. Albina Rayskiego.

Naczelny i zasadniczy zarzut *Czasu* jest następujący: „Wogóle, jeśli chcemy charakteryzować ducha, który przewodniczył ubiegłej akcyi Rady Narodowej, nie możemy tego uczynić inaczej, jak że kierujące sfery tej naszej instytucyi, myślały głównie o tem, jakby komu coś na złość zrobić“. Ponieważ zaś zdanie to nawiązane jest do wzmianki o rządzie, jako o „czynniku przeciw któremu właśnie Rada walczyła z dziecinnym uporem i zaślepieniem“, główny zarzut *Czasu* jest ten, że kierownicy Rady Narodowej myśleli tylko o tem, żeby zrobić na złość p. Namiestnikowi.

Przedewszystkiem, jeśli były starcia, to dla *Czasu* jest rzeczą z góry jasną i pewną, że „upór i zaślepienie“ były po stronie kierowników Rady Narodowej, bo przecież p. Namiestnik od dwudziestu lat słynie w całym kraju jako wymarzony wzór człowieka nieupartego i chętnie dopuszczającego zdanie cudze. Ale mniejsza o to.

Co jednak o tem robieniu na złość mówią rzeczywiste i uchwytne fakty? Kandydat prawicy narodowej i p. Namiestnika, p. Halban, zatwierdzony został bez żadnego oporu w okręgu, z którego posłował dotychczas p. Biesiadecki, członek Organizacyi Jedności Narodowej (gdzie przewodniczy p. Cieński) i w którym kandydat tej samej grupy politycznej mógł być przez organizacye miejscowe z największą łatwością polecony. Drugi kandydat prawicy narodowej i p. Namiestnika, p. Starowieyski, został zatwierdzony nie tylko bez oporu, ale z wielką ochotą, chociaż bardzo poważni ziemianie tego okręgu zwracali uwagę na trudności (a że trudności były, mimo większego niż gdzieindziej poparcia ze strony rządu, to wynika z cyfr pierwszego głosowania). Innych kandydatów własnych prawicy narodowej wogóle nie było. Ale popierał p. Namiestnik p. Czaykowskiego, bardzo mu oddanego, popierał p. Serwatowskiego przeciw p. Orskiemu (dem.-nar.), p. Gołuchowskiego przeciw p. Bieniowskiemu (dem.-nar.) i wszyscy oni zostali zatwierdzeni za przyczynieniem się kierowników Rady Narodowej. Tak to „myśleli oni głównie o tem“ jakby „na złość zrobić“ p. Namiestnikowi. A dalej, czy *Czas* będzie miał odwagę, zamiast wojować ogólnikami, wystąpić z twierdzeniem, że w trzech jedynych okręgach wiejskich na wschodzie, w których zatwierdzono demokratów narodowych można było i należało zatwierdzić kogo innego: zamiast p.

Skarbka p. Mleczkę, zamiast p. Dębskiego p. Poznańskiego ludowca-frondystę, a zamiast p. Zamorskiego niewiadomo kogo. Cóż zostaje? Złoczów, gdzie kierownicy Rady Narodowej, znając stosunki, opierali się kandydaturze p. Golda, a gdy większość p. Namiestnika mimo wszystko się przy niej uparła, okręg dostał się Breiterowi, za co na tę większość spada cała odpowiedzialność. A wreszcie okręg, w którym kierownicy Rady Narodowej rzeczywiście popierali p. Starzyńskiego, co wyjaśnić można jedynie chęcią zrobienia na złość p. Namiestnikowi, bo poza tem nie było żadnego powodu, aby popierać człowieka tak złej sławy jak p. Starzyński! Oto fakty. Z jednej strony nazwiska pp. Halbana, Starowieyskiego, Czaykowskiego, Gołuchowskiego, Serwatowskiego, z drugiej strony jedno tylko nazwisko i to nazwisko p. Starzyńskiego. Tak wygląda robienie na złość p. Namiestnikowi przez kierowników Rady Narodowej. Więc *Czas* mówi nieprawdę.

Następny zarzut zawarty jest we wzmiance o „żywiołach, na których się Rada Narodowa opierała, między którymi szukała swych mężów zaufania, na których relacyach się opierała w swoich orzeczeniach“. Tutaj oskarżona jest Rada Narodowa, krytym sztychem, o jakieś nadużycia przy powoływaniu mężów zaufania. Niechby *Czas* powiedział otwarcie, gdzie i jak popełniono nadużycie. Mężowie zaufania i członkowie komitetów Rady Narodowej na wschodzie to byli albo ludzie nie należący do żadnego stronnictwa, albo należący do tych stronnictw, które tam istnieją i działają. Jedyne skargi podnoszone były przez stronnictwo demokratyczno-narodowe, które sądziło, właśnie odwrotnie jak chce *Czas*, że jest krzywdzone. Trudno mianować ludowców, demokratów krakowskich, członków prawicy narodowej, tam gdzie ich niema, więc też żadne z tych stronnictw żadnej skargi nie mogło podnosić i nie podnosiło. Trudno także, w braku innych członków prawicy narodowej, mężami zaufania Rady Narodowej mianować starostów, komisarzy, wreszcie żandarmów. Więc i tu, rzucając ogólnikowy zarzut co do mężów zaufania, *Czas* mówi nieprawdę.

Dalszy zarzut, świadczący o winie Rady Narodowej, brzmi: „Nie było większej zorganizowanej partyi (z wyjątkiem demokratów), reprezentowanej w Radzie, któraby nie miała outsiderów z powodu dyktatów tej magistratury, a odnosi się to także do stronnictw, które Rada Narodowa specyalnie faworyzowała“. Zobaczmy jak wyglądają te złe „dyktaty“ Rady Narodowej, a jak ci zacni i pokrzywdzeni „outsiderzy“, których *Czas* broni przed niesprawiedliwościami Rady Narodowej. Zły dyktat to p. Abrahamowicz, a zacny outsider to p. Dąbski z frondy ludowej; zły dyktat to p. Kozłowski a zacny outsider to p. Jampoler-Jampolski z frondy ludowej; zły dyktat to p. Dębski, a zacny outsider to p. Poznański z frondy ludowej; zły dyktat to p. Czaykowski, a zacny outsider to p. Jaworski ludowiec; zły dyktat to p. Gołuchowski, a zacny outsider to p. Bieniowski dem.-nar.; zły dyktat to p. Starzyński, a zacny outsider to p. Steinhaus z prawicy narodowej. Wystarczy to zestawienie nazwisk, o które chodzi, aby wykazać jak obłudnie, jak niegodnie walczy *Czas* ogólnikowem powoływaniem się na „outsiderów“ i napadaniem na „dyktaty“. Ale jest tu i coś więcej. Przedewszystkiem główny zastęp tych kandydatów samozwańczych to fronda ludowa, nie należąca do Rady Narodowej. A jeżeli *Czas* chce podsunąć twierdzenie, że wszystkie stronnictwa należące do Rady Narodowej, były sobie równe i siebie godne co do kandydatów samozwańczych, to trzeba znowu powiedzieć: nieprawda! Przedewszystkiem nie tylko demokraci bezprzymiotnikowi, ale także cała umiarkowana grupa wschodnia nie miała żadnych wogóle kandydatów samozwańczych. Stronnictwo demokratyczno-narodowe samozwańczą kandydaturę p. Srokowskiego, wysuniętą jedynie przeciw niebezpieczeństwu ze strony Breitera, cofnęło szczerze i dobrowolnie, a przeciw p. Bieniowskiemu na miejscu wystąpiło i działało. Także stronnictwo ludowe wystąpiło zupełnie jasno i stanowczo przeciw kandydaturze samozwańczej p. Jaworskiego w okręgu przemyskim. Jedno tylko stronnictwo w kraju odegrało nędzną komedyę i popierało z całych sił, przez swego głównego przewódcę, kandydata samozwańczego, p. Steinhausa: prawica narodowa. Więc niechaj *Czas* nie stara się teraz chować prawicy narodowej w grono innych stronnictw i stawiać jej na równi z niemi, bo nędzną i obłudną zdradę karności narodowej ma na swem sumieniu tylko jedna prawica narodowa. A jeżeli w dodatku temi kandydaturami samozwańczemi stara się *Czas* w ogólnikowych zarzutach rzucać cień na kierownictwo Rady Narodowej, to jest to także bezczelność, a nie tylko nieprawda.

Wreszcie gra *Czas* zarzutem, który sam nazywa „mało znaczącym“, mianowicie co do zatwierdzenia p. Orensteina przeciw p. Diamandowi we Lwowie. Otóż wiadomo, że p. Loewenstein, któremu większość p. Namiestnika oddała niejako dyktaturę w okręgach t. zw. żydowskich, nie chciał stawiać żadnego kandydata przeciw p. Diamandowi, aby nie zrażać zanadto socyalistów w swoim okręgu i w okręgu p. Kolischera. Ale pełna Rada Narodowa nie mogła stanąć na równie sprytnem stanowisku i uznać biernie kandydaturę p. Diamanda, więc poleciła komitetowi wykonawczemu, aby wyznaczył kandydata na ten okręg. I wówczas wcale nie ci kierownicy, na których *Czas* napada, ale cały komitet wykonawczy, wraz z przedstawicielami większości p. Namiestnika, uchwalił jednomyślnie kandydaturę p. Orensteina, a gdy się okazało, że nie jest on tem za co się podawał i za co go podawano, wówczas Rada Narodowa zupełnie zaniechała jakiegokolwiek popierania go. Więc i tutaj składanie rzeczywistej i wielkiej winy p. Loewensteina oraz pomyłki całego komitetu wykonawczego na zwalczanych kierowników Rady Narodowej jest szerzeniem nieprawdy.

Tak wyglądają zarzuty *Czasu:* kłamstwo za kłamstwem.

Wnioski zaś jakie? *Czas* nie może powiedzieć, że wyniki wyborów są złe tam gdzie działała Rada Narodowa, bo są one dobre, ba, nawet znakomite. Zatem twierdzi, że stało się

to mimo Rady Narodowej, a dzięki rządowi krajowemu.

Dobrze trzeba rozważyć przedewszystkiem następujące zdanie, w którem tę myśl stara się *Czas* rozpowszechnić:

„Do osłabienia powagi obecnej Rady przyczyniły się i błędy poprzedniej, której zawdzięczaliśmy dwa z trzech syonistycznych mandatów na wschodzie, ale odzyskanie tych mandatów w obecnej kampanii nie jest zasługą obecnej Rady, lecz wyłącznie czynnika, przeciw któremu właśnie Rada walczyła z dziecinnym uporem i zaślepieniem“.

Bo co znaczy to zdanie? Znaczy, że mimo Rady Narodowej ocalił teraz te okręgi rząd krajowy i p. Namiestnik. Jest to nieprawda, bo ocaliły je przedewszystkiem organizacye Rady Narodowej, w r. 1907 jeszcze młode, teraz udoskonalone. Ale co innego przedewszystkiem uderza. Mianowicie: jeżeli teraz rząd krajowy i p. Namiestnik ocalili te okręgi, to cóż robił rząd krajowy i Namiestnik w r. 1907, gdy one przepadły? Otóż ś. p. Namiestnik Andrzej Potocki szedł ręka w rękę z Radą Narodową. I oto jasno wybija się piękna myśl tego twierdzenia *Czasu*: czego nie zdołał zrobić Potocki razem z Radą Narodową, to zrobił Bobrzyński bez Rady Narodowej. Niechaj rośnie sława żywych, choćby kosztem umarłych? I to umarłych, którym od *Czasu* coś się należy nawet w chwilach najzaciętszej pogoni za argumentami i największego uniesienia pisarskiego. Ale trudno, politycy *Czasu* na swój sposób hołdują zasadzie: z żywymi naprzód iść!

Kierownicy Rady Narodowej zostali przez *Czas* wyśmiani, odsądzeni od zasług, zniesławieni.

Za co?

P. Tadeusz Cieński i p. Albin Rayski wraz z p. Janem Leszczyńskim, kierownikiem biura Rady Narodowej, od kilku lat pracują z największem staraniem nad organizacyami polskiemi na wschodzie, są duszą tej pracy, ożywiają i zachęcają do roboty dziesiątki i setki pracowników. W czasie wyborów p. Cieński, który ma o czem myśleć, i czcigodny p. Rayski rzucają swe domy i zajęcia i nie tylko najzupełniej bezinteresownie, ale z wielką ofiarnością własną, z ogromnem poświęceniem, całe dnie spędzają w Radzie Narodowej albo na objazdach, godzą i uspokajają powaśnione stronnictwa, narażają się na napaści i wymówki ze wszystkich stron, bo każdy z czegoś niezadowolony. Praca ich wydaje wyniki znakomite, głosy polskie rosną ogromnie, wszystkie mandaty polskie sa ocalone.

A wtedy *Czas* co pisze?

Oto słowa *Czasu*: „Ludzie ci z pewnością w najlepszej wierze są dziś ogromnie zadowoleni ze swojej działalności, wszystkie swoje złośliwości i małe sztuczki uważają za wielkie czyny i zasługi polityczne“. Te prostackie kpiny to wdzięczność pisma ziemiańskiego, pisma założonego i wydawanego przez porządnych i uczciwych ludzi, dla dwóch obywateli-ziemian pracujących z pełnem poświęceniem dla kraju. I kto zna p. Cieńskiego i p. Rayskiego, ten wie jak dostosowany jest do nich zarzut „złośliwości i małych sztuczek“. Niepodobna oprzeć się pytaniu: co za człowiek pisał to w *Czasie*?

A dalej pisze o nich *Czas*: „Z pewnością też nie wiedzą, jak deprawujące wrażenie cała ta akcya wywarła w największych kołach ludności, wśród żywiołów, gotowych zawsze zasadniczo do popierania obywatelskiej działalności Rady, wśród ludzi, stojących pod względem politycznym bardzo blisko czynników kierujących Rady“. Deprawujące wrażenie! Dobrze, niechaj *Czas* wskaże poważnych ludzi, którzy powiedzą, że praca pp. Cieńskiego i Rayskiego wywarła deprawujące wrażenie. A potem niech posłucha co najpoważniejsi ludzie w kraju mówią o deprawującem wrażeniu jakie wywarło pełne nadużyć popieranie kandydata samozwańczego przeciw kandydatowi Rady Narodowej p. Starzyńskiemu i nędznie obłudne stanowisko prawicy narodowej w tej sprawie. I oni ważą się mówić o „deprawującem wrażeniu“ (czy też o „deprymującem wrażeniu“, jak właśnie w ostatniej chwili, po głosach oburzenia, poprawia *Czas*, o co zresztą mniejsza, bo poprawienie jednego słowa nie zmieni ducha całej tej napaści).

A wreszcie rzuca *Czas* ludziom, którzy tyle pracy i poświęcenia włożyli w tę sprawę, obelżywe ale też i bezwstydnie głupie zdanie: „Wybory wypadły doskonale mimo Rady Narodowej“.

Działalność publiczną wszystkich pracowników można i trzeba oceniać i ganić gdy wydaje się ona niedobrą. W tem tutaj piśmie oceniało sie nieraz ujemnie działalność nawet i p. Namiestnika, który dla *Czasu* działa pięknie i dobrze także wtedy, gdy daje przykład jak depce się zasadę karności narodowej. Ale te wystąpienia przeciw polityce p. Namiestnika były oparte na faktach i gdy politykom z *Czasu* oświadczono, że każdy fakt nieprawdziwy *Rzeczpospolita* sprostuje, nie umieli wskazać ani jednego. *Czas* zaś wystąpił z zarzutami poprostu urągającymi prawdzie i rzeczywistości i oparł na nich wnioski do gruntu zniesławiające kierowników naszej naczelnej organizacyi obywatelskiej.

Takiemi wystąpieniami *Czas*, strojny w powagę dawnych ludzi i dawnych tradycyi, sieje w nasze życie publiczne zarazę duchową.

I dlatego otwarcie i stanowczo wystąpić trzeba przeciw tym podstępnym ogólnikom, przeciw tym niegodnym kłamstwom, przeciw tym niewczesnym kpinom z ludzi osiwiałych w pełnej poświęcenia pracy obywatelskiej, gdy staną się oni komuś niewygodnymi.

Stanisław Stroński.

Zachód idei republikańskich.

(Alcide Ebray: *La France qui meurt.* Paris 1910 — Maurice Barrès: *Pour les Eglises.* Discours prononce le 16. janv. 1911).

Zawsze byli tacy, co źle wróżyli III republice Francyi. Renan dowodził, że Rewolucya niszcząc dynastyę i szlachtę usunęła z rasy francuskiej rządny pierwiastek germański; przewagę uzyskał odtąd żywioł celtycki o usposobieniu anarchistycznem. Utrata Alzacyi i Lotaryngii jeszcze bardziej zniweczyła równowagę w krwi narodu. Dawni Gallowie odznaczali się raczej

zamiłowaniem do wojny i wymową; instynkty żołnierskie zamarły w ostatniej dobie, została tylko gadatliwość. Zdaniem Taine'a „naogół, od roku 1789, Francuzi myśleli i działali jak szaleńcy albo jak dzieci niedoszłe do rozumu". Demokratyzacyę społeczeństwa uznano za przyczynę słabości politycznej i wojskowej Francyi. Bronili III republikę jej urzędowi historycy, wydając stosy aktów z epoki rewolucyjnej. W materyałach tych jednak tylko metoda wydawnicza jest często anarchistyczna, nie zaś tezy, które można z nich wyprowadzić. Trudno dowieść mianowicie, jakoby świetność wojenna dała się pogodzić z formą republikańską. Jakkolwiek wówczas ogromną rolę odegrał zapał dla wielkich haseł, to przecież zwyciężało pokolenie, którego nie wychowała rewolucya; kadry armii tworzyli żołnierze monarchii; pod Valmy na 120.000 starych wojsk „królewskich" były tylko dwa bataliony „ochotników". Potem przyszedł Napoleon. Budował on skutecznie tam gdzie były dawne fundamenty, nie mógł też ocalić n. p. marynarki, ponieważ w jej kadrach zabrakło oficerów wykształconych za monarchii. Silniej jednak aniżeli te reminiscencye historyczne muszą przemawiać do pokolenia obecnego własne jego spostrzeżenia. Z nich powstała książka p. Ebray'a o ginącej Francyi.

Długoletni współpracownik *Journal des débats* i konsul generalny w Nowym Jorku za ministerstwa Delcassé'go, porzucił i stronnictwo umiarkowanych republikanów i stanowisko dyplomatyczne, kiedy Francya w czasie zatargu marokańskiego, w latach 1905/6, na proste żądanie Wilhelma II zmieniła kierownictwo polityki zagranicznej. Uważał, że sumienie nie pozwala mu dłużej pełnić służbę, która przy tej formie rządu jest zupełnie bezowocną, że bodaj mają racyę ci, którzy dla ocalenia bytu Francyi chcą ją usunąć od wszelkiej polityki zewnętrznej jako zgubnej dla państwa w stanie upadku i rozkładu.

Mrzonką nazywa autor nieprawdopodobieństwo wojny w Europie. Nastrój ludu w Niemczech jest wprawdzie pokojowy, ale o polityce zewnętrznej rozstrzygają tam inne sfery. Cesarstwo niemieckie potrzebować będzie kolonii. W tym celu stworzyło olbrzymią flotę. Służyć ona będzie do ich strzeżenia, zdobyte zaś będą te posiadłości na Francyi w wojnie kontynentalnej. I dzisiaj już głośno mówią kierownicy pangermanistyczni: Po co Francyi kolonie, skoro sama się wyludnia i na roboty musi sprowadzać Włochów i Polaków; nie ma zbytku materyału ludzkiego; w jej koloniach afrykańskich z białych najwięcej jest Włochów i Hiszpanów. Lord Chamberlain bez ogródek wyraził się, że Francuzi są narodem obumierającym. Wojna przeciw nim poprowadzona na spółkę z Niemcami znakomicie opłaciłaby się Anglii. Jest czem się dzielić. Odstąpienie Marokka w zamian za Egipt wydaje się już niektórym politykom angielskim błędem. Wszak i tak Francya nie miała sił do odebrania Egiptu a nie potrafi nic zdziałać w Marokku z obawy przed Niemcami, którzy pewnie tajnie zwiążą się z Hiszpanią.

Jakież są ogólne przyczyny tej słabości polityki zewnętrznej rządu republikańskiego? Jest to najpierw zerwanie z katolicyzmem, bez możności zastąpienia go inną religią. Zaciętość, którą inne narody okazują w walce z wrogiem zewnętrznym, Francuzi stosują w waśniach domowych. W nienawiści do religii katolickiej hamował się jeszcze Gambetta, nie chciał przenosić jej do polityki zagranicznej. Ale stało się to samą siłą rzeczy. Miało zaś skutki fatalne. Chociażby zaraz o miedzę w Alzacyi i Lotaryngii, przejętych głęboką wiarą, którą tam szanuje rząd niemiecki. Na wschodzie azyatyckim zatraciła Francya potężne wpływy, jakie jej zapewniały klasztory i szkoły katolickie. Odstąpiła je w znacznej części Włochom. W Marokku wikaryat apostolski oddany został księżom hiszpańskim. W Kanadzie francuskiej i w Stanach Zjednoczonych osłabły sympatye dla Francyi zwalczającej religię chrześcijańską. Muzułmanie w Algierze zaczęli pogardzać niedowiarkami i szukać zbliżenia z Anglią; podobnie dzieje się na Madagaskarze. Nawet u protestantów w Szwajcaryi, Hollandyi, Anglii, Ameryce zapanowały prądy przeciwne kulturze francuskiej, bo wszędzie wobec postępów nihilizmu religijnego zbliżyły się do siebie różne odłamy chrześcijaństwa. Równocześnie i nie bez związku z tą polityką wrogą kościołowi, grozi Francyi utrata przewodnictwa wśród ludów łacińskich. W „nowej" Sorbonie przeważają metody germańskie. Ogranicza się niedemokratyczne ogólne wykształcenie. W międzynarodowem współzawodnictwie mniej liczą się z Francyą. Szkodliwą dalej okazuje się niezdolność republikanów do zrozumienia, że o związkach państw decyduje wspólność interesów, nie zaś podobieństwo instytucyi albo ideałów. I tak w czasie ostatniej wojny na wschodzie sympatye francuskie były po stronie Japonii konstytucyjnej, aż później odczuto boleśnie wzrost przewagi Niemiec w następstwie klęsk Rosyi. W niechęci do caratu oglądano się za innym sojuszem. Wahano się długo między Anglią a cesarstwem niemieckiem, pozostając w niebezpiecznem odosobnieniu. Brak też ciągłości w tej polityce. W razie niepowodzenia izba poselska natychmiast obala ministrów. Jakże inaczej postępowały Prusy wobec królowej Luizy po klęskach r. 1806, albo ludy złączone w Austryi w latach niepowodzeń pierwszego okresu panowania cesarza Franciszka Józefa, albo Anglicy u schyłku rządów Wiktoryi podczas nieszczęśliwej wojny w Afryce. Parlament francuski nie umie zachować godności wobec zagranicy i nerwowo przerzuca się w ostateczności. Pchają się zaś deputowani mimo braku zawodowego przygotowania na stanowiska dyplomatyczne i popierają swoich; tymczasem należąc do komisyi polityki zagranicznej nie umieją przestrzegać elementarnych zasad tajemnicy obrad. Nie bez fatalnego wpływu na znaczenie kraju wobec obcych są ciągłe wewnętrzne zaburzenia i dezorganizacya w wojsku. Żołnierze prowadząc konia czytają gazetę, a równocześnie połowa z nich nie wie nic o przeszłości swej ojczyzny; jak wykazała ankieta, 36% rekrutów nie słyszało nigdy o wojnie roku 1871, a 42% o utracie Alzacyi i Lotaryngii. Skrajne partye pracują gorliwie nad zniszczeniem w armii „ducha militaryzmu". Uczy się

żołnierzy, że mają się bić tylko w obronie granic. Zmniejsza się ciągle ciężary służby. Ogranicza się wszelkie różnice w traktowaniu starszych, aż do usunięcia firanek, które w kasarni osłaniały łóżko kaprala. W okresie sprawy Dreyfusa najgorliwiej podkopywano powagę stanu wojskowego. Ale gdyby nawet ta armia zdolna była do zwycięstw, to i tak żadną miarą rząd nie zechce jej użyć. Jest powszechnie wiadomem, że niezłomną wolą deputowanych jest utrzymanie pokoju za wszelką cenę, a zwłaszcza w ostatnich dwu latach każdoczesnej kadencyi. Inaczej, coby powiedzieli wyborcy, których dzieci musiałyby się bić, których interesy doznałyby przerwy i szkody. A zresztą parlament lęka się zarówno zwycięskiej jak przegranej wojny. Za klęską nastąpiłby natychmiastowy upadek rzeczypospolitej. W razie wygranej groziłaby dyktatura wojskowa. Już Gambetta z tych powodów na seryo o odwecie nie myślał, potrzebne mu były tylko frazesy. Kiedy witano cara, to wołano: p a x, ażeby przypadkiem nie ofiarowano biednej rzeczypospolitej możności prowadzenia wojny, której sobie zgoła nie życzy, bo już czas wyzbyć się mrzonek o odzyskaniu utraconych prowincyi. Raz nawet sam cesarz Wilhelm wyraził delikatnie żdziwienie, dlaczego Francuzi, działając na ogół w sposób uniemożliwiający im prowadzenie wojny, nie dążą raczej do pokoju, który przy jawnej abdykacyi z polityki zagranicznej byłby przynajmniej nie tak kosztowny.

Za pomocą prasy nie można sprostować opinii. Bo nie mówiąc już o tem, że poziom obywatelski najpoczytniejszych dzienników jest niezmiernie niski, że przekupstwo gra olbrzymią rolę, istnieje ścisły związek między parlamentem a prasą, tu i tam cisami ludzi stoją na czele. — Zasady przewrotowe głównych stronnictw Francyi są także ujemnym czynnikiem w polityce zewnętrznej, gdyż wywołują głęboką niechęć nawet w krajach tak bliskich krwią, jak Belgia, Szwajcarya, Kanada i Haiti. Język francuski traci grunt zagranicą z powodu nieufności do współczesnej literatury Paryża, przesyconej zgnilizną moralną. Wreszcie zmniejszają się zasoby kraju i jego ludność. Kapitały francuskie, po części kierowane przez żydów, służą do wytworzenia groźnej konkurencyi przemysłu obcego, który tym kredytem urósł. Brak natomiast środków na niejedno przedsiębiorstwo w samej Francyi i jej koloniach. Jest w takiej lokacyi kapitału zapewne myśl o niedostateczności gwarancyi, jakie daje rząd republikański klasie zamożnej. I dla kogo tworzyć nowe urządzenia. Ludność nie wzrasta. Na żyznej i pięknej tej ziemi żyje 73 mieszkańców na kilometrze kwadratowym, gdy w Niemczech jest ich 117 w warunkach nierównie gorszych. Prędzej lub później musi w ścieśnionem społeczeństwie niemieckiem zapanować myśl zagarnięcia sąsiedniej krainy.

A przyczyny tego upadku nie tkwią w osłabnięciu rasy, która w Kanadzie okazuje tyle żywotności, ale w walce z religią i w niektórych urządzeniach prawnych, jak n. p. w zupełnem ograniczeniu władzy rodziców nad dziećmi i swobody rozporządzenia majątkiem w testamentach.

Razem z tych przyczyn płynie zupełna niemoc Francyi republikańskiej. Polityka zagraniczna staje się kosztowną zabawką, gdyż nie można liczyć na siłę zbrojną. Przeciętny Francuz niechce słyszeć o Marokku, oburza się na tych, co mu je ofiarują, skoro z tego powodu zakłócają mu spokój w obiedniej porze widmem zatargów międzynarodowych. Wojska używać chce tylko do szachowania strejków. Tę niezdolność do spełnienia zadań światowych przy tym systemie rządów powinni byli i musieli przewidywać założyciele republiki, a jednak weszli na tę drogę przez przywiązanie do idei demokratycznych. Dzisiaj Francya w polityce międzynarodowej uznaje tylko takie środki jak wizyty panujących, toasty, wystawy, parady, manewry. Biada tym, którzy by chcieli dalej ją pociągnąć. Podobna jest do tej matki z „Ziemi“ Zoli, która czując się brzemienną rozpacza. I gotowa uciec się do zbrodniczych sposobów, aby zabić płód, któryby jej przysporzył trosk i wysiłków w życiu.

W tych warunkach rola umiarkowanych republikanów jest pożałowania godną: bystra ich krytyka zła jest po niewczasie, ma znaczenie akademickie, literackie. Nie mają żadnego wpływu i przy tych założeniach na nic nie zdałoby się dopuszczać ich do rządów. A ponoszą straszną odpowiedzialność, że swojemi szanownemi nazwiskami okryli zgubne dla ojczyzny przedsięwzięcie ugruntowania formy republikańskiej.

Powoływano się na przykład Szwajcaryi i Stanów Zjednoczonych, aby dowieść, że ustrój republikański nie musi być zgubny. Otóż oba organizmy powstały przez oderwanie od większego pnia państwowego i niema podobieństwa między ich a Francyi bytem. Kantony szwajcarskie nie mają polityki zagranicznej. Zaś Stany Zjednoczone nie są otoczone potężnymi sąsiadami; licząc 80 milionów mieszkańców graniczą tylko z 6 milionami Kanadyjczyków i 8 Meksykanów. Aby istniała jakaś analogia, Kanada i Meksyk musiałyby przedstawiać potężne i wojownicze monarchie, zaś Stany toczyć choroby społeczne Francyi, przedewszystkiem obawa przed wojną jako niszczącą obecną jej organizacyę. Inny jest też ustrój rzeczypospolitej amerykańskiej, gdzie prezydent w polityce zagranicznej ma stosunkowo dużą władzę. Nie trzeba jednak zapominać, że i wielką republikę Nowego Świata trapią także pewne dolegliwości. Trusty trują ją zgniłem mięsem, rozbijają na kolejach. Przekupstwo przybrało rozmiary wprost straszne. W polityce mało kto bierze udział bezinteresownie. Miano polityka jest w Ameryce równie mało pochlebne co godło parlamentarzysty we Francyi. Administracya jest podła (przeciwnie we Francyi była tradycyjnie wzorową i psuje ją tylko zbytni lęk przed władzą centralną). Dzienniki wydaje się za pieniądze milionerów, niemi przeprowadza się wybory. Te same wpływy wyczuwa się w polityce zewnętrznej. Kubie przyznano niepodległość tylko z obawy przed konkurencyą cukrową; przekop panamski opóźniają posiadacze akcyi kolejowych mimo jego znaczenia w razie wojny z Japonią. Tylko zakres działania państwa jest tam stosunkowo nie duży, napływa wciąż fala nowej krwi ludzkiej, przeważa zawsze praktyczny zmysł anglo-

saksoński i wyznania religine są w poszanowaniu.

Byłoby złudzeniem liczyć na zmianę formy rządu we Francyi drogą legalną, większością głosów wyborców. Ogół ludności jest bierny. Nie troszczy się o ogólne interesy kraju i jego przyszłość. Żyje wygodnie pod rządem, który domaga się tylko podatków, a nie żąda żadnych nadzwyczajnych, bohaterskich wysiłków. Wielu ciągnie różne zyski prywatne z instytucyi państwa; nie są to jego obywatele, tylko klijenci. Nie uznaje się ani Boga ani pana. Wolno kpić ze wszystkiego, począwszy od beczki łoju przedstawiającej najwyższego dygnitarza rzeczypospolitej. A to zamiłowanie do drwin leży głęboko w naturze francuskiej, jak i chęć prześladowania, którą zaspokojono, wydając na łup kościół katolicki. Umieją politycy trzeciej republiki zadowolnić różne instynkty, a chociaż kłótliwi potrafią się złączyć w chwili niebezpieczeństwa i zręcznie bronić tak miłych, tak dla nich wygodnych urządzeń Nie o ojczyznę im idzie, ale o republikę. Są jak sępy, które drą się nad zwłokami, ale czujne i zgodne, by przeszkodzić dźwignięciu się trupa. — Jedynie może nadmierny wzrost podatków mógłby skłonić większość do porzucenia obecnego ustroju, ale i to jest wątpliwe.

Pozostaje zamach stanu. Zapewne w tym razie ogół ludności zachowałby się biernie, a proletaryat nie ująłby się może za republiką. Przecież znalazłaby ona zapewne obrońców w tych mocarstwach, dla których słabość Francyi jest korzystną. Widzą one w jej obecnej formie rządów niejako *diminutio capitis*, więc gotowe byłyby przeszkodzić ustaleniu się królestwa czy konsulatu. Jeśli w r. 1814 i 1815 monarchia wróciła do Francyi na furgonach wojsk kwalicyjnych, to dzisiaj przywiezionoby na nich godła upadłej rzeczypospolitej. Bo wówczas w polityce europejskiej grało rolę poczucie wspólności interesu dynastycznego obok obaw przed zaraźliwemi hasłami rewolucyi, dzisiaj przeważa współzawodnictwo międzynarodowe a propaganda anarchistyczna Francyi wobec jej ruiny nie jest już bardzo niebezpieczną. Takie było zdanie już Bismarcka, który podpierał chwiejący się rząd republikański, tak rozumują Niemcy i teraz. Tylko wojna zwycięska mogłaby obalić rzeczpospolitą, ale i w takiej rachubie nic niema pewnego.

W stanie tego wygodnego poniżenia trzeba było obejrzeć się za jakiemś ukojeniem. W braku religii wypadło go szukać w filozofii. Tych „filozofów upadku“ jest dzisiaj wielu. U niektórych nie sama celtycka krew płynie. Niektórzy przypominają błaznów. Ale nam, Polakom, którzy kochamy Francyę, którzy z nią dzieliliśmy dobrą i złą dolę i niejedną obłędną ideę, nam nie na śmiech się zbiera.

Trzeba sobie jasno zdać sprawę z położenia, aby potem nie uwodzić się rozgłosem jakiegoś wynalazku, paromiesięcznem powodzeniem jakiegoś zdolnego męża stanu. Jakkolwiek ruina Francyi dokonuje się z bezprzykładną w dziejach szybkością, są przecież i muszą być krótkie nawroty ku lepszemu. Miała i trzecia republika pomyślny okres wytężonej pracy po wojnie z 1871. Wtedy powstało jej państwo kolonialne. Ale rychło przyszedł okres zastoju i zaczął się beznadziejny upadek. Prawie z każdym rokiem będzie głębszy. Co raz większa będzie różnica między Francya a innymi, wielkimi a żywotnymi narodami. W naszych pracach kulturalnych i politycznych musimy się z tem liczyć. Sama analiza p. Ebray'a nie wystarcza nam jednak. Musimy także wiedzieć, skąd po upadku potęgi państwowej Francyi, może przyjść jej odrodzenie, gdzie mamy kierować naszą życzliwość.

Niema tu żadnej wątpliwości. Przyszłość należy do tych warstw, które, nie z imienia tylko, ale z ducha są katolickie. Przedewszystkiem one podtrzymają rasę francuską. W kołach, gdzie panują teorye użycia, niema miejsca na dzieci. Gdy młodzi tam układają sobie przyszłe życie, nie rzadko z ust narzeczonej padają te słowa: „Les enfants? Vous savez, je n'en veux pas“. Tak zamarł zmysł macierzyństwa, że niełatwo o piastunkę, która chciałaby za zwykłą płacę schylać się nad maleństwem. Niełatwo o mieszkanie dla licznej rodziny. W takich ogromnych, pięcio, sześcio, siedmiopiętrowych domach często nie słychać ani jednego młodego głosu, obok ludzi zapracowanych albo zużytych są tam tylko psy i koty. Dzieci w sferze bawiącej się są strojne jak lalki, które żyć później nie potrafią bez parukroćstotysięcy renty, jak ich matki, co noszą tylko jedwabie i koronki i przenoszą się z miejsca na miejsce tylko w automobilach, zaś u przeciwnego bieguna społecznego, a w środowiskach dyszących podobną żądzą użycia, także zaspakaja się instynkt płciowy w sposób przeciwny naturze albo spędza się płód albo wydaje się na świat dzieci przez nieuwagę, poczęte często w chorobie albo pod wpływem absyntu. Oczywiście tak źle jest tylko w Paryżu i wielkich centrach, ale i w ogólnej statystyce na małżeństwo wypada we Francyi wszystkiego $2^1/_4$ dzieci. Ogromna z nich większość na szczęście nie może należeć do obu wspomnianych typów, ale rozkłada się na rodziny pojmujące poważnie obowiązki życia.

W polityce warstwy te okazywały dotąd niedokrewność, ale pod wpływem prześladowań obudziła się w nich energia.

Widoczną jest ona w organizowaniu szkół prywatnych, aby uchronić młode pokolenie przed ateizmem urzędowym. Przejawia się w usiłowaniach Marka Sangnier'a stworzenia demokracyi chrześcijańskiej i narodowej. Odzywa się wymownym protestem w parlamencie, aby powstrzymać dzieło zniszczenia Francyi. Takie znaczenie miał ostatnio głos Barres'a. Mówił wobec większości radykalno-socyalistycznej o obowiązku ochrony kościołów. Mówił, że rząd, bez względu na swe skrajne zapatrywania, jest obowiązany zachować dziedzictwo Francyi dla przyszłych pokoleń, więc zapobiegać ruinie świątyń katolickich, którym po rozdziale kościoła od państwa grozi niebezpieczeństwo nie tylko od deszczu, śniegu, ubóstwa ale i od sekciarskiej nienawiści wrogów chrześcijaństwa. Wszak to w okolicy Paryża jeden czerwony mer przelał dzwony kościelne w statuę Zoli. Sukno żałobne włóczono po rynsztokach. Zarządy gminne sprzeciwiają się często koniecznej restauracyi domów modlitwy, gdy wyznawcy chcą tego dokonać własnymi

środkami. Pełno jest na to administracyjnych sposobów. A trzeba zachować nie tylko te kościoły, które dla piękna architektonicznego są źródłem dochodu dla miasta, dla których zwiedzania przyjeżdżają cudzoziemcy. Powinno się chronić wszystkie kościoły, także brzydkie, stojące daleko od traktów, nie przynoszące zysków zajazdom okolicznym. Trzeba je chronić jako przybytki życia duchowego. Filozofia XVIII. wieku, która wydała dzisiejszą demokracyę, wszak uznawała prawo wszechstronnego rozwoju władz duszy człowieka. Do nich należy uczucie religijne.

Nie zaspakaja go sam rozum. Uznał to August Comte, który budował kościół w samej łacińskiej dzielnicy Paryża i Stuart Mill, który wzniósł oratoryum. W modlitwie prostaczek odkłada ciężar życia i wznosi się na te same szczyty, co wielki myśliciel i wielki poeta. Same mury kościelne, chociażby we wsi zapanował materyalizm i obojętność religijna, nadają myślom pewien kierunek; bez niego następuje rozprzężenie, zwrot nie ku racyonalizmowi ale ku najniższym formom poganizmu, ku czarom, sztukom szarlatanizmu i magii.

To ostrzeżenie i wogóle doświadczenie narodu, który długo innym przodował, powinno być znane także w Polsce.

A. M. S.

O wyborach.

Od niewiadomego autora nadeszło do redakcyi *Rzpltej* pismo następujące:

Szanowna Redakcyo!

Spędziłem dni kilka na wschodzie galicyjskim i nasłuchałem się tam o wyborach. Z zapatrywaniem mojem chciałem się z Szan. Redakcyą podzielić; jeśli się wyda odpowiedniem, proszę z niego zrobić użytek. Publicystycznie nie występowałem i występować nie mam zamiaru, dlatego kreślę tych słów kilka jako „Podolak“.

Praca parlamentarna podczas sesyi lipcowej ograniczy się prawdopodobnie do ukonstytuowania się parlamentu i do dyskusyi na temat wyborów galicyjskich. Niestety, temat w permanencyi. Cóż może być znów powodem tego przykrego i już przysłowiowego tematu. Pisma polskie i wiedeńskie skonstatowały, że walki między stronnictwami polskiemi i ruskiemi nie było, socyaliści uzyskali nadspodziewaną ilość mandatów, Breiter przeszedł dwukrotnie, konserwatyści ze wschodu i zachodu kraju wejdą wzmocnieni, wszystkie odcienie demokracyi mają sporą ilość swych reprezentantów, wybory przeprowadzone zostały z małymi wyjątkami po myśli i woli władzy, Rady Narodowej i wszystkich niemal stronnictw. A jednak dyskusya na temat wyborów galicyjskich będzie, i zdaniem mojem, nigdy jeszcze nie była tak zupełnie usprawiedliwiona jak obecnie.

Posłowie z roku 1911 dzielą się na posłów mianowanych przez p. Namiestnika i na posłów zatwierdzonych przez Radę Narodową, a aprobowanych przez p. Namiestnika. Zakulisowa walka wyborcza toczyła się między zapatrywaniami wschodu i zachodu naszego kraju, między Namiestnikiem-stańczykiem a Radą Narodową, stojącą pod wpływem stolicy kraju i jego wschodniej części. W walce tej moralny wpływ Rady Narodowej uległ, a „władza“ wyszła zwycięsko.

Walka ta zakulisowa we Lwowie, a zupełnie otwarta i niesłychanie brutalna w poszczególnych okręgach wyborczych, doprowadziła do tego, że znów nasłuchamy się o galicyjskich wyborach. Przy żadnych jeszcze wyborach nie wywierały władze powiatowe i czynniki od niej zależne takiego wpływu na przebieg wyborów jak przy wyborach obecnych.

Władze te były poprostu sterroryzowane. Kandydaci mianowani przez p. Namiestnika przejść naturalnie musieli, bo tu chodziło o powagę władzy, no i o głowę i przyszłość p. starosty, kandydaci zatwierdzeni przez Radę Narodową lub podobne instytucye ruskie, a aprobowani przez p. Namiestnika musieli się oprzeć o władzę, bo byli to zazwyczaj kandydaci zagrożeni. Władza tak rządowa jak i autonomiczna, organizacye narodowe i polityczne, wielkości lokalne etc. wszyscy ci prześcigali się w lojalności wobec p. Namiestnika i w dokumentowaniu swych wpływów wobec Rady Narodowej, a właściwie wobec poszczególnych jej członków.

Konglomerat tej służalczości powiatowej doszedł do punktu kulminacyjnego w okręgu drohobyckim i spowodował tam niepotrzebną, wobec zupełnie pewnej kandydatury p. Loewensteina, krwawą tragedyę. W tegorocznej walce wyborczej nie zwyciężali kandydaci, lecz c. k. Namiestnik, starostowie, wielkości powiatowe i, *last not least*, poszczególni członkowie Rady Narodowej.

Wybory się skończyły. Zachód zwyciężył nad wschodem kraju, bo miał swego reprezentanta pod kawkami. Zwyciężył na całej linii p. Namiestnik jako polityk.

Prawica narodowa, ta prawica p. Bobrzyńskiego będzie w Wiedniu zwycięstwo to dalej utrwalać i wychwalać. Niechżeż ta prawica już 17. lipca stanie do walki odpornej w dyskusyi o wyborach galicyjskich!

Podolak.

Wiadomości polityczne.

Jak broni Czas.

Krakowski *Czas* ma zwyczaj ogłaszać kilka razy do roku artykuły p. t. „Zgubna metoda“. Złowieszczy ten tytuł pojawia się na czele *Czasu*, ilekroć pismo to i jego stronnictwo znajdzie się w szczególnych opałach. Dzieje się to mianowicie wtedy, gdy politycy tego stronnictwa zrobią coś już bardzo a bardzo szpetnego i wywołują oburzenie wszystkich uczciwych ludzi w całym kraju. Gdy n. p. dla sojuszu z p. Stapińskim bronią oni ciężkich nadużyć w Banku parcelacyjnym, gdzie chłopi tracą drobne oszczędności a spekulanci bankowi porastają w pierze, albo gdy dla dogodzenia zawiściom stronniczym posługują się Breitrem przeciw p. Głąbińskiemu i piszą o afe-

rze „Breiter-Głąbiński“, albo gdy w poważnym *Przeglądzie Polskim*, założonym przez Szujskich i Tarnowskich, wywieszają sztandar „brudnych dróg“ a pokpiwają sobie z „moralistów, kaznodziejów, apostołów“, wtedy wśród uczciwych ludzi w kraju, nawet i w obozie *Czasu* powstaje oburzenie, a w odpowiedzi na nie zjawia się w *Czasie* ragiczny tytuł „Zgubna metoda“, którego symboliczne znaczenie ma być niby takie, że to właściwie nie politycy *Czasu* zawinili a tylko oskarża się ich ową „zgubną metodą“. Nic więc dziwnego, że i teraz, wobec powszechnego oburzenia wszystkich ludzi uczciwych na niegodne zwalczanie kandydata Rady Narodowej p. Stanisława Starzyńskiego przez p. Namiestnika i na obłudne stanowisko prawicy narodowej w tej sprawie, pojawiła się znowu w *Czasie* z d. 30. czerwca taka „Zgubna metoda“.

Artykuł ten jest znakomitym przykładem co się pisze i jak się pisze, gdy się broni czegoś, co się obronić nie da.

Nasamprzód stara się *Czas* wywołać odpowiedni nastrój, podsuwając czytelnikom wrażenie, że to nie wszyscy ludzie uczciwi występują z oskarżeniem, ale tylko stronnictwo demokratyczno-narodowe. I chcąc odrazu powiedzieć wszystko, co można najgorszego o tem stronnictwie, woła, że „społeczeństwu polskiemu przyniosło ono, jako rezultat swojej polityki, największe upokorzenie i stratę: zmniejszenie mandatów polskich do Dumy“. Jednem słowem dobry i zacny rząd rosyjski tylko z powodu złej polityki naszej tak nas skrzywdził. A n. p. ohydne ziemstwa na Litwie i Rusi wprowadzono za co (bo przecież polscy członkowie Rady Państwa byli lojalni do ostatnich granic)? Co więcej, od czasu gdy p. Bobrzyński jest namiestnikiem Galicyi, *Nowoje Wremia* i inne takie pisma, stale twierdzą, że na ucisk moskalofilów w Galicyi odpowiedzią być musi ucisk Polaków w Rosyi, a zatem, komuby wystarczyło sumienie polityczne i rozum polityczny taki jak w *Czasie*, ten mógłby twierdzić, że ucisk nasz w zaborze rosyjskim wywołany jest polityką p. Bobrzyńskiego. Przeciw polityce demokratyczno-narodowej można było znaleźć sporo zarzutów, ale żeby aż występować z najgłupszem politycznie i najniegodniejszem historycznie twierdzeniem, że to my sami wywołujemy ucisk, nie zaś świadome celu dążenia zaborców, na to trzeba nie mieć pewnych poczuć, które polityczni ludzie w Polsce mieć powinni.

Gdybyż przynajmniej *Czas* miał odwagę otwarcie powiedzieć, że p. Namiestnik a z nim razem jego stronnictwo z takich a takich powodów zwalczali p. Starzyńskiego. Ale gdzieżtam! Ci mężowie polityczni patrzą tylko jak się wykręcić z całej sprawy. Więc ani słowem nie przyznaje *Czas*, że p. Starzyński był zwalczany, chociaż niesłychane nadużycia tamtejsze znane są całemu krajowi, wkręca nawet zdanie, że p. Steinhaus po odrzuceniu przez Radę Narodową „stracił poparcie swego dotychczasowego stronnictwa“, tak jakby poparcie przez starostów nie miało nic wspólnego z rozkazami p. Namiestnika, a p. Namiestnik z tem stronnictwem, a wszystko składa *Czas* na to, że p. Starzyński za późno zgłosił swą kandydaturę i dlatego „p. Steinhaus miał nad prof. Starzyńskim wyższość dłuższej o kilka tygodni pracy w okręgu“. A przecież i p. Abrahamowicz zgodził się na kandydowanie, gdy już inni kandydari polscy dawno tam kandydowali, a n. p. p. Stesłowicz dopiero na kilka dni przed wyborami. I pomyśleć że takimi wykrętami trzeba zasłaniać politykę p. Namiestnika i stronnictwa, do którego należą ludzie szanujący się, ludzie z historycznemi nazwiskami, ludzie dbali o cześć i godność.

Natrząsając się z tego, iż kandydaturę prof. Starzyńskiego nazwano w *Gazecie Narodowej* „kandydaturą całego społeczeństwa“, drwi *Czas*: „Nie chcemy narażać prof. Starzyńskiego na ponowną próbę, gdybyśmy chcieli badać, kto stanowi to społeczeństwo“. Mniejsza już o to, że tak pisze się w piśmie Potockich, Tarnowskich, Lubomirskich o człowieku czystym, bardzo zasłużonym i steranym w służbie krajowi. Ale co najdziwniejsza, to pewność siebie z jaką się coś podobnego pisze w *Czasie*, gdy jego redaktorem politycznym jest p. W. L. Jaworski, co do którego najłacniej w całej Galicyi wypada zapytać, „kto stanowi to społeczeństwo“, które go wybrało posłem. Bo przecież p. Jaworski wybrany został w okręgu, w którym jest aż sześciu starostów, t. zn. z pewnością więcej, niż członków prawicy narodowej na tej przestrzeni. Drwiące pytania „kto stanowi to społeczeństwo“ muszą zadziwiać w piśmie redagowanem przez p. posła sześciu starostów.

Najzabawniejszy jest jednak ustęp, w którym *Czas* niejako broni p. Namiestnika. Ni w pięć ni w dziewięć! Zarzuca się, na podstawie niezbitych faktów, że po raz pierwszy w naszem życiu politycznem namiestnik zwalczał kandydata Rady Narodowej, a *Czas* odpowiada z namaszczeniem, że p. Bobrzyński ma za sobą... „najświetniejsze zdobycze dla polskiej historyografii“. Zarzuca się, znowu na podstawie niezbitych faktów, że z polecenia p. Namiestnika starostowie i komisarze tego okręgu dopuszczali się przeciw p. Starzyńskiemu a za p. Steinhausem nadużyć po prostu niesłychanych, a *Czas* odpowiada z godnością, że ...„życie p. Bobrzyńskiego jest czyste jak kryształ“. My o podkopywaniu powagi Rady Narodowej oraz o nadużyciach i oszustwach wyborczych, a oni... o historyografii i o... krystalografii.

W Krakowie.

D. 27. czerwca b. r. odbyło się w Krakowie, w sali Tow. technicznego, bardzo poważne zebranie obywatelskie pod przewodnictwem pp. dyr. Wojnarowicza i dra Kwaśnickiego. Referat p. t. „Po wyborach w Krakowie: przebieg ich i wyniki oraz plany organizacyjne na przyszłość“ wygłosił prof. St. Stroński, a następnie przemawiali pp. dr. L. Caro, inż. St. Żeleński, dr. Nieć, dr. Wł. Horodyski, dr. Weiner, ks. dr. Caputa (obszerne sprawozdanie w *Głosie Narodu* z d. 29. czerwca i 2. lipca oraz w *Nowinach* z d. 28. czerwca). Na zebraniu tem omówiono otwarcie i bez obsłonek złą politykę stronnictw rządowych w Krakowie, poruszono także ujemne objawy całej polityki ogólno-krajowej i uchwalono następującą rezolucyę: „Zebranie obywatelskie z d. 27. czerwca 1911 r.

w Krakowie, wyrażając przekonanie, że zarówno w mieście naszem jak w całym kraju powinny powstać organizacye, któreby działały w imię jedności narodowej i interesu narodowego, wzywa urządzających zebranie dzisiejsze, aby przystąpili do założenia organizacyi takiej w Krakowie".

W dniu zebrania ukazał się w *Czasie* popołudniowym artykuł także p. t. „Po wyborze w Krakowie", zawierający wskazówki polityczne dla zebrania. Co za artykuł! Po stwierdzeniu, że w stosunkach politycznych Krakowa nastąpi „zmiana na lepsze" i „przeobrażenie", szybko dodawał *Czas*, że „nie stanie się to drogą walki ani przeciwko któremukolwiek z narodowych stronnictw, działających w Krakowie, ani przeciwko zarządowi miasta", ale obok tego była dosyć wymowna wzmianka, że pożądana jest chwila, „gdy w te inne stronnictwa wstąpi nowy duch i gdy oczyszczona zostanie ich metoda działania", a także lekka uwaga o „bolu ale i krytyce dotychczasowych politycznych stosunków w naszem mieście". Jednem słowem: i chciałaby i boi się. Potem było, dla urządzających zebranie, wspaniałe zdanie o obaleniu p. Doboszyńskiego na korzyść socyalisty dra Marka: „Uważali momenty polityczne za drugorzędne, sprawili jednak mimo tego, że krok ich ma właśnie pierwszorzędne polityczne znaczenie". *Czas* rozdziela tu najwyraźniej: uczciwość osobno, a polityka osobno, i nie może zrozumieć, że są ludzie, dla których i wzgląd na uczciwość obywatelską także należy do polityki. Ale najlepsze jest zakończenie artykułu: „My możemy tylko jedno zrobić: utrzymać nasze stronnictwo (prawicy narodowej) na tak wysokim poziomie etycznym i politycznym, utrzymać jego powagę tak nienaruszoną, abyście, szukając miejsca dla waszej pracy, uznali, że znaleźć je możecie przedewszystkiem w naszym obozie". Wesoło było na sali, gdy jeden z mowców odczytał ten ustęp.

Nowa organizacya polityczna w Krakowie już się tworzy i niebawem zacznie swą działalność. *Nowa Reforma* stara się wmawiać w mieszkańców Krakowa, że jest to robota stronnictwa demokratyczno-narodowego. Kto czyta *Nową Reformę* mógłby myśleć, że *Rzeczpospolita* i *Słowo Polskie* to jedna ręka. Oczywiście ta gra nie uda się na dłużej, gdyż organizacya, która powstanie, ani nie będzie demokratyczno-narodowa, ani nie będzie oparta na współdziałaniu kilku grup politycznych, ale zjednoczy ludzi, nie należących do żadnego z istniejących stronnictw, bo żadne im nie odpowiada, a dążących do podniesienia naszego życia publicznego w imię interesu narodowego i jedności narodowej.

Czy p. Doboszyński w Radzie m. Krakowa jest par inter pares?

Na posiedzeniu Rady m. Krakowa d. 28. czerwca b. r. odczytano pismo p. Adama Doboszyńskiego, członka tej Rady, zakończone wnioskiem, aby zarzuty podniesione przeciw p. Doboszyńskiemu przez *Naprzód* (który ogłosił dosłownie część wyroku rzeszowskiego) oraz przez *Rzeczpospolitą* (która w artykule „O dobre imię Krakowa" przedstawiła całą sprawę i cały wyrok) zostały zbadane przez osobną komisyę. Wniosek ten uchwalono a w sprawie składu komisyi ma p. prezydent Leo przedstawić projekt na najbliższem posiedzeniu Rady.

Już na tem posiedzeniu nie brakło rzeczy bardzo rażących.

Przedewszystkiem w piśmie p. Doboszyńskiego są ustępy bezczelne aż do śmieszności, jak n. p. następujący: „Wyrok rzeszowski, o ile uznał zarzuty czynione mi przez dra Goldberga za podstawne, stracił swą treść wewnętrzną przez to, że p. dr. Goldberg uznał sam bezpodstawność swoich zarzutów i je cofnął, opublikowawszy odnośną deklaracyę swoją". Otóż cała Rada m. Krakowa wie doskonale, że p. Doboszyński przyprawił w r. 1902 p. Goldberga o stratę 10.272 K, a obecnie, w czasie wyborów, gdy p. Goldberg przyjechał do Krakowa, aby wystąpić publicznie przeciw p. Doboszyńskiemu, zwrócił mu on tę kwotę z bardzo znacznym okładem, wzamian za co p. Golberg wniósł swą deklaracyę, która jednak oczywiście ani trochę nie może osłabiać wyroku rzeszowskiego i jeżeli n. p. wyrok ten stwierdził, wśród wielu innych rzeczy, że na zarzut, iż „ugoda zaproponowana przez dra Doboszyńskiego drowi Goldbergowi za interwencyą adw. dra Tertila była łajdactwem", albo na zarzut, że „dr. Adam Doboszyński usiłował nawet zastępcę p. de Boishèbert'a (t. j. dra Goldberga) do popełnienia nikczemności pozyskać" i t. d. na wiele innych zarzutów przeprowadzony został dowód prawdy, to oczywiście dzisiejsze pogodzenie się p. Goldberga z p. Doboszyńskim ani trochę nie dotyka „treści wewnętrznej" tych zarzutów.

Rażące były także przemówienia niektóre, biorące już z góry w obronę p. Doboszyńskiego, n. p. przemówienie p. Klemensiewicza, który wogóle powinien był wstrzymać się od przemawiania w tej sprawie, bo przecież w jego kancelaryi notaryalnej spisany został ów sławny kontrakt kupna sprzedaży Siemiechowa, co do którego sąd rzeszowski przyjął za udowodnione, że „dr. Adam Doboszyński wyzyskał niedoświadczenie de Boishébert'a, aby wyłudzić od niego kontrakt kupna sprzedaży, który graniczy z oszustwem i musiał spowodować jego materyalną ruinę". Zdumiewające były także wyrzuty p. Leo: „Ubolewać przytem należy, że wyrok, wydany przed czterema laty, teraz dopiero posłużył pewnym stronnictwom do zaatakowania jednego z członków Rady". Wolne żarty. Uczciwi obywatele, a nie „pewne stronnictwa", wystąpili przeciw p. Doboszyńskiemu obecnie, bo sięgał on po mandat poselski. A jeżeli nad czem „ubolewać należy", to nad tem, że p. Leo, który w styczniu r. 1907 był już przecie prezydentem miasta, nie zajął się natychmiast wyrokiem rzeszowskim z 26. stycznia 1907, druzgocącym „jednego z członków Rady", której przewodniczył p. Leo.

Co może osądzić i co w każdym razie jedynie osądzi komisya Rady m. Krakowa?

Nie jest w jej mocy, nawet gdyby się zapędziła w tym kierunku, sądzić sprawę i zarzuty, co do których dowód prawdy został już przeprowadzony sądownie i tych zarzutów z p. Doboszyńskiego już żadna siła na świecie nie zdejmie.

Natomiast komisya ta osądzi jedynie, czy p. Doboszyński, po takim wyroku, zasiadać może jako *par inter pares* w krakowskiej Radzie miejskiej, czyli odpowie na pytanie: jacy ludzie zasiadać mogą w obecnej Radzie m.

Krakowa? Rozumie to bardzo dobrze p. Leo, który, chcąc obalić zdanie p. Daszyńskiego, iż dalsze sądzenie sprawy osądzonej przez sąd jest zbyteczne, głównie na tem się oparł, iż „zarzutami podniesionymi przeciw p. Doboszyńskiemu, jako członkowi Rady, szachuje się nie tylko honor jednostki, ale i honor reprezentacyi gminy“.

Rada miasta Krakowa ma złą sławę co do sądzenia spraw wkraczających w dziedzinę życia obywatelskiego i czci obywatelskiej. W sprawie rydzyńskiej komisya Rady i jej sprawozdawca p. Klemensiewicz złożyli, a cała Rada przyjęła, orzeczenie, które jest ciężką plamą na dobrem imieniu tej Rady, bo publicznie wykazano (por. nr. 48 i nr. 50 *Rpltej*), że zawiera ono cały szereg nie tylko wykrętów ale i prostych kłamstw, podano ten zarzut do wiadomości wszystkich radnych, a nikt palcem nie ruszył. Jeszcze jedno takie orzeczenie, a dla całej Polski to co się nazywa Radą m. Krakowa przybierze na stałe nazwę inną: „Pralnia obywatelsko-narodowa pp. Leo i Sp. w Krakowie“.

Muzeum Rapperswilskie.

Niebawem odbędzie się doroczny zjazd Rady Muzeum Narodowego w Rapperswilu. Da on niewątpliwie wszystkie potrzebne wyjaśnienia i poweźmie niezbędne zarządzenia. Podobno wśród członków Rady omawiana jest myśl przeniesienia zbiorów (wszystkich razem, bo rozdział archiwum od biblioteki jest niemożliwy) do Paryża. Nie naruszyłoby to woli założyciela, który tylko do kraju nie pozwalał przenieść zbiorów, a stałyby się one łatwiej dostępnymi dla pracowników polskich, z których każdy łatwiej dociera do Paryża niż do odludnego Rapperswilu. I zarząd byłby ułatwiony, bo przeważna część wybitnych członków emigracyi przebywa w Paryżu. Wreszcie zbiory rapperswilskie obok stacyi naukowej Akademii Umiejętności w Paryżu dałyby razem polskiemu ruchowi naukowemu i narodowemu w stolicy Europy silną i poważną podstawę.

Polska Szkoła Nauk Politycznych.

W listopadzie b. r. zaczynają się w Krakowie wykłady „Polskiej Szkoły Nauk Politycznych“, której zarząd stanowi grono profesorów wydziału prawniczego Uniw. Jagiell. z prof. Rostworowskim jako przewodniczącym (Kraków, Studencka 8). Zapowiada się ona jako instytucya bardziej naukowa i gruntowna w zestawieniu z powstającą równocześnie (z inicyatywy p. Wilhelma Feldmana) „Szkołą Nauk Społecznych i Politycznych“ bardziej popularną. Program wykładów „Pols. Szk. N. Pol.“ został opracowany i przedstawia się znakomicie. Siły wykładowe są pierwszorzędne. Zanim będzie można omówić szerzej tę bardzo ważną nową instytucyę, polecić ją należy już przed wakacyami młodzieży naszej wszystkich zaborów, a również ofiarności zamożniejszych obywateli, którzyby chcieli poprzeć pracę pierwszorzędnej wagi narodowej.

O majoraty w Królestwie.

W uzupełnieniu notatki w nr. 57 *Rzpltej*, w której wyrażono pogląd, że zapasy krewniaków p. Stołypina z gen. Skałłonem o generał-gubernatorstwo warszawskie odbywać się będą naszym kosztem, podać można po upływie krótkiego czasu nowy fakt. Czerpiąc w dalszym ciągu z nagromadzonych przez senat. Neudhardta materyałów, *Nowoje Wremia* ukuło nowy pocisk przeciwko Skałłonowi w sprawie majoratów rosyjskich w Królestwie.

Jak wiadomo, po wojnie 31 r. a głównie po powstaniu 63 r. dobra skonfiskowane patryotycznej szlachcie polskiej rząd rozdał w formie dziedzicznych donacyi „zasłużonym w uśmierzeniu buntu“ rosyjskim generałom i wyższym urzędnikom. Donataryusze i ich sukcesorowie zazwyczaj oddawali majątki te w dzierżawę polskim ziemianom. (Na 238 majoratów w Królestwie w r. 1908 zaledwie 30-ma zarządzali właściciele). Ten stan rzeczy trwał do r. 1906. Gdy po głośnych debatach agrarnych I Dumy, rząd począł przeprowadzać wielką reformę agrarną, polegającą między innemi na sprzedaży chłopom majątków skarbowych, właściciele majoratów w Królestwie poczynili starania o pozwolenie parcelowania dóbr majorackich. Rada ministrów „uchwałą najwyżej zatwierdzoną“ z r. 1906 zezwoliła na sprzedawanie okolicznym włościanom i dotychczasowym dzierżawcom, bez różnicy wyznania. W r. 1908 jednak, gdy p. Stołypin już wynalazł najradykalniejszy środek na uspokojenie Rosyi w rozbudzaniu nienawiści przeciwko innorodcom, ta „najwyżej zatwierdzona uchwała“ wydała się premierowi zbyt nieprawomyślną, toteż ją zmienił, uznając sprzedaż majoratów osobom pochodzenia polskiego za „niezawierającą praktycznej celowości“. Przyjętym zaś zwyczajem zwrócił się jednocześnie z zażądaniem opinii do gen. Skałłona, który i w tej sprawie zajął tradycyjne stanowisko, zgodnie ze wskazówkami Milutina i Czerkasskiego: szlachtę polską zwalczać, włościan pozyskiwać. Więc też opinia jego brzmiała:

„Dotychczas sama siła materyalna nie była uważana przez rząd rosyjski za trwałą podstawę pokojowego systemu zarządu krajem. Niewątpliwie włościanie polscy odczuwają potrzebę ziemi; wynika to stąd, że polscy obywatele ziemscy nie skłonni są sprzedawać ziemię. Powinna być owa potrzeba zaspokojona na rachunek gruntów skarbowych, a więc i dóbr majorackich. W osobie włościan polskich Rosya, dzięki wyjątkowym staraniom rządu, zyskała spokojną, lojalną siłę, nieskłonną do ujawniania dążeń rewolucyjnych. Jeśli rząd uważa za niezbędne i nadal opierać się na gromadzie włościańskiej, to projektowanych przez P. A. Stołypina zmian wprowadzać nie należy. W dodatku projektowana próba zaaklimatyzowania w kraju drobnej własności rolnej rosyjskiej nie osiągnie powodzenia, gdyż włościanin rosyjski nie może się równać pod względem kulturalnym z polskim; nie potrafi on gospodarować na obszarze, wystarczającym dla chłopa polskiego; natomiast, skłonny do rozruchów i niezagospodarowany na nowem miejscu, jeszcze silniej ujawnia swą działalność rewolucyjną“.

Przytaczając to *Nowoje Wremia* zamierzało zaalarmować kamaryllę dworską i podniecone nacyonalistycznie społeczeństwo rosyjskie, w jak niebezpiecznych a może polską intrygą opętanych rękach znajduje się zarząd Królestwa Pol-

skiego. Jeżeli i to pchnięcie nie zachwieje posadą gen. Skałłona, w najkrótszym czasie oczekiwać należy nowego donosu, który w Rosyi nazywa się dziennikarską rewelacyą.

Ze statystyki wyborczej.

Wyniki wyborów w okręgach wiejskich i miejskich Galicyi wschodniej stwierdzają nadwyraz pocieszający fakt. Jednocześnie z upadkiem głosów ruskich a głównie ukraińskich, wzrosła niepomiernie w porównaniu z r. 1907 ilość głosów polskich a szczególnie oddanych na kandydatów Rady Narodowej. Jeżeli się zważy, że ogólne zainteresowanie wyborami tegorocznymi było mniejsze, co znalazło swój wyraz w zmniejszonej liczbie głosów ogółem oddanych, a dalej, że polscy kandydaci w okręgach t. zw. czysto-ruskich nie cieszyli się życzliwością władz rządowych, fakt wzrostu głosów polskich jest tem większej doniosłości. Świadczy on zarówno o sprężystości organów wyborczych Rady Narodowej jak i, co ważniejsza, o skuteczności prac narodowych, podejmowanych w ostatnich paru latach przez organizacye powiatowe i instytucye oświatowe na wschodzie. Na razie podajemy zestawienie sumaryczne głosów oddanych w r. 1907 i w r. b., w pierwszem głosowaniu. Cyfry ogólne głosowań następnych nie są miarodajne ze względu, że tam gdzie przed czterema laty odbywał się jeden wybór, w r. b. odbywać się mógł wybór drugi i ściślejszy i odwrotnie. Zaznaczyć jednak należy, że we wszystkich tych okręgach wiejskich, w których i w minionych i w przedostatnich wyborach przyszło do głosowania drugiego, polscy kandydaci, o ile kandydatur nie cofnęli, wszędzie otrzymali większe ilości głosów, niż w r. 1907. Wyniki pierwszego głosowania, jedynie więc miarodajne, zestawić się dadzą, jak następuje:

We wszystkich 19 okręgach wiejskich i 12 okręgach miejskich (bez Lwowa i okr. Sambor-Gródek) na kandydatów polskich padło ogółem głosów:

W r. 1911 . .	262.212
W r. 1907 . .	222.873
Przyrost .	39.339

W tem na kandydatów zatwierdzonych przez Radę Narodową:

W r. 1911 . .	224.372
W r. 1907 . .	189.808
Przyrost .	34.564

W 19 okręgach wiejskich głosów polskich padło:

	ogółem	na kand. R. N.
W r. 1911 . .	207.851	183.878
W r. 1907 . .	178.350	158.269
Przyrost .	29.501	25.609

W 12 okręgach miejskich głosów polskich padło:

	ogółem	na kand. R. N.
W r. 1911 . .	54.361	40.494
W r. 1907 . .	44.523	31.539
Przyrost .	9.838	8.955

W 9 okręgach czysto-ruskich kandydaci polscy otrzymali głosów:

W r. 1911 . . .	79.423
W r. 1907 . . .	70.449
Przyrost .	8.974

Całkowity zatem przyrost głosów polskich w okręgach objętych interwencyą Rady Narodowej wynosi 39.339, w tem w 10 okr. mieszanych 20.527, w 9 okr. ruskich 8.974, w 12 okr. miejskich 9.838.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Zwrot Wawelu. Dn. 1. lipca kraj ostatecznie wziął w posiadanie królewski zamek na Wawelu. Władze wojskowe ściągnęły ostatnie warty i wręczyły klucze występującemu imieniem Wydziału krajowego architekcie K. Skawińskiemu. Z dniem tym zatem zakończyły się długoletnie usiłowania społeczeństwa i niemałe ofiary dla wykupienia z rąk rządu zamku naszych królów. Radosny ten fakt uczciły dłuższymi artykułami wszystkie organy prasy polskiej w kraju.

Hołd dr. Starzyńskiemu. Lwowska Czytelnia Akademicka, stowarzyszenie tej części młodzieży, która najsilniej odczuwa sprawy narodowe i najofiarniej swoje siły im poświęca, w dn. 2. bm. złożyła uroczysty hołd Stanisławowi Starzyńskiemu. Po przemówieniach przedstawicieli młodzieży wręczono adres „kochanemu profesorowi, b. prezesowi Czytelni Akad., wielkiemu przyjacielowi młodzieży, wytrwałemu obrońcy polskości Lwowskiej Wszechnicy, wielkiemu uczonemu i mężowi stanu".

Ś. p. Ignacy Petelenz. Dn. 20. czerwca zmarł b. poseł m. Krakowa do Rady państwa dr. Ign. Petelenz. Z zawodu profesor przyrody wstąpił na arenę pracy politycznej w r. 1901 jako poseł Krakowa, wybrany z ramienia polskiego str. demokratycznego którego był wybitnym członkiem. W r. 1907 zwyciężył w wyborach krakowskich p. Daszyńskiego, w parlamencie był gorliwym obrońcą naszego szkolnictwa średniego. Zmarły cieszył się opinią zacnego człowieka i pracowitego posła oraz niekłamaną sympatyą towarzyszów pracy.

Z życia Rusinów. Dn. 29. czerwca odbyło się konstytuujące zgromadzenie nowego stronnictwa ruskiego p. n. „Chrystjańsko-suspylnyj sojuz", powołanego do życia przez grono wydawców *Rusłana* z dr. A. Barwińskim na czele. Na zgromadzeniu wypowiedziano 2 referaty o potrzebie organizacyi chrz.-społecznej i potrzebie działalności narodowo-gospodarczej, poczem wybrano wydział „Sojuza", którego prezesem został p. Barwiński. Nowemu stronnictwu udzielili błogosławieństwa metr. Szeptycki i bisk. Czechowicz. Podkreślić należy, że w czasie minionej akcyi wyborczej założyciele stronnictwa, chociaż udziału czynnego w wyborach nie brali, udzielali poparcia Nar. Komitetowi a w stosunku do Polaków nie wiele ustępowali panom z *Diła i Swobody.*

Z zaboru rosyjskiego.

Bojkot szkolny w Królestwie. Zjazd stronnictwa dem.-narodowego w Królestwie uchwalił przerwać bojkot szkół rosyjskich w Królestwie zarówno średnich jak i wyższych. Zjazd jako obowiązujące zasady postępowania członków stronnictwa uchwalił: 1) nie stawiać przeszkód tej części młodzieży, która nie może odbywać studyów zagranicą, do studyowania w Warszawie, na uniwersytecie i politechnice, 2) młodzież gimnazyalna winna się kształcić w szkołach polskich i dopiero po ich ukończeniu starać się o matury rządowe, 3) prześladowanie młodzieży uczęszczającej do szkół rządowych jest narodowo szkodliwe, 4) reprezentacya polska w Petersburgu winna podjąć akcyę ku podniesieniu poziomu naukowego szkół rządowych i ku pozyskaniu dla szkół

polskich mocnych podstaw prawnych. Nie wszystkie jednak organy prasy w Królestwie przyjęły te uchwały przychylnie. Jest także pewnem, że nie całe społeczeństwo się do nich zastosuje a przedewszystkiem sama młodzież, która stoi na wręcz przeciwnem stanowisku i na niem prawdopodobnie wytrwa.

Poseł m. Wilna. W dn. 22. czerwca odbyły się w Wilnie wybory uzupełniające na miejsce śp. Józefa Montwiłła. Z liczby 63 wyborców stawiło się 44 (żydzi byli nieobecni), którzy 42 głosami wybrali na posła p. Ludwika Ochotnickiego, sekretarza wileńskiego Banku Ziemskiego, bezpartyjnego postępowca.

Kurczenie się ziemi polskiej. Na ogólne potępienie zasługuje hr. Stanisław Czapski, właściciel Berżan rozległych dóbr w pow. szawelskim na Żmudzi. Oto jak donosi *Gaz. Warszawska*, Berżany nabył p. Stołypin, premier rosyjski, posiadacz w tymże powiecie historycznych Kojran, który widocznie zapracowywane na wysokiem stanowisku kapitały lokuje w ziemi naszej i tym sposobom osobiście zwalcza polskość Litwy. Pan Czapski, który na krążące od dłuższego czasu pogłoski o zamiarze sprzedania Berżan, protestował gorąco, postąpił przytem obłudnie, odrzucił bowiem propozycye polskiego konsorcyum ziemiańskiego, przekładając zaprzepaścić ojcowiznę w ręce wroga.

Bractwo chełmskie a koleje. Bractwo Bogarodzicy w Chełmie, gniazdo pupilów bisk. Eulogiusza, poczyna sobie jak Ostmarkenverein w zab. pruskim, chcąc odgrywać rolę rządu w rządzie. Co pewien czas w różnych sprawach wydaje ono swoje opinie, jako dyrektywy dla Petersburga. Ostatnio wystąpiło z krytyką projektów nowych kolei w gub. lubelskiej, z którymi rząd od dawna się nosi. Bractwo uważa, że projekt gen. Skałłona jest polonofilski, bo proponuje kolej przez miejscowości zamieszkałe przez Polaków, a zdaniem jego nowa kolej powinna przechodzić przez terytoryum „rdzennie rosyjskie" bo tylko wtedy odpowiedzieć może widokom państwowym!

Z zaboru pruskiego.

W Landtagu. Na posiedzeniu dn. 27. czerwca Landtag rozpatrywał wniosek wolnomyślnych domagający się zaprowadzenia reformy ordynacyi wyborczej. Imieniem Koła Polskiego przemawiał pos. Korfanty, twierdząc, iż kanclerz Hollweg powinien obecnie tak samo bronić reformy wyborczej pruskiej, jak bronił niedawno czteroprzymiotnikowego prawa głosowania w Alzacyi. Konserwatyści przez pos. Heydebranda kategorycznie oświadczyli się przeciw reformie. Rząd znalazł wyjście z niemiłej dla siebie sytuacyi przez odroczenie Landtagu do jesieni.

Wystawa w Poznaniu. Głównym celem wystawy „wschodnio-niemieckiej" w Poznaniu było wykazanie się, jak skutkiem polityki antypolskiej wzrósł żywioł niemiecki w kraju i jak dobroczynnie polityka ta wpłynęła na rozwój ekonomiczny Ks. Poznańskiego. W tym też celu ściągnięto do Poznania wycieczkę około 200 posłów do Landtagu ze wszystkich stronnictw, którzy zwiedzili wystawę i w okolicy Poznania osady kolonizacyjne. Posłów podejmował burmistrz dr. Wilms, który na bankiecie na cześć gości wypowiedział toast, a odpowiadał mu wicemarszałek Landtagu centrowiec dr. Porsch.

Zakusy centrum. Centrum katolickie na G. Śląsku, które do niedawna opierało się głównie na katolickim ludzie polskim i zniemczonem duchowieństwie, po zerwaniu węzłów organizacyjnych z Napieralskim a narodowem skonsolidowaniu się Polaków, znalazło się w niebezpieczeństwie utraty wpływów. Aby je ratować centrowcy zamyślili wydawać pismo ludowe w jęz. polskim, któreby zwalczało wydawnictwa Napieralskiego i Korfantego. Na czele tego przedsiębiorstwa stanął poseł centrowy ks Glowatzki. Zbieranie funduszów na ów „polski" organ rozpoczęto wydaniem okólnika do duchowieństwa, aby składało pieniądze na fundusz prasowy.

Komisya kolonizacyjna zdołała uzyskać u cesarza Wilhelma ponowne zatwierdzenie na następne trzy lata p. Gramscha jako prezesa Komisyi, co uchodzi za dowód, że kurs polityki przeciwpolskiej żadnej nie ulegnie zmianie.

Z pruskiej humorystyki. Dn. 25. czerwca, miał się odbyć w Wielkim Dubieńsku, w pow. rybnickim, na Górnym Śląsku, wiec polityczny, na którym miał przemawiać poseł ks. Wajda. W ostatniej chwili wiec został zakazany. W odnośnem piśmie „amtowego" powiedziano, że „wobec panującej zarazy pyska i racic, wskutek wielkiego nagromadzenia ludzi, mogłoby nastąpić przeniesienie i rozszerzenie zarazy (!). Prócz tego nie można pozwolić na odbycie wiecu, bo robotnicy kopalniani w niedzielę zwykle oddają się pijaństwu, wskutek czego mogłyby wyniknąć nieprzyjemne zajścia"!

Od Administracyi.

Tak jak w latach ubiegłych *Rzeczpospolita* nie będzie wychodzić w czasie dwu miesięcy wakacyjnych od 15. lipca do 15. września. Numer niniejszy jest ostatnim przedwakacyjnym, pierwszy powakacyjny wyjdzie około 15. września (w sobotę 9. lub 16. września). W razie potrzeby, w czasie tej przerwy wyjdzie numer nadzwyczajny.

Zalegających z prenumeratą za pierwsze półrocze r. b. prosimy o jej uregulowanie, płacących prenumeratę półroczną o wczesne odnowienie za półrocze drugie.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Administracya otwarta w dnie powsz. od 10—12 przed poł. i od 4—6 wiecz.
Sekretaryat redakcyi urzęduje w dnie powsz. od 5—6 wieczorem.

Redakcya i administracya: Lwów, ul. Asnyka 1, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Jakubowskiego i Sp. we Lwowie, plac Bernardyński 7.